

Oksana Zabuzko - Ukraińska poetka i pisarka. Autorką kilku tomików poetyckich „Trawnewyj inij” (1985), „Dyrygent ostannioji swiczky” (1990), „Awtostop” (1994), „Nowyj zakon Archimeda” (2000), „Druha sproba. Wybrane” (2005). Sławę przyniosła jej powieść „Poliowi doslidzennia z ukrajinśkooho seksu” (1996; wyd. polskie: „Badania terenowe nad ukraińskim seksem” 2003), przetłumaczona na dwanaście języków. Wydała również zbiory opowiadań, esejów oraz studiów literaturoznawczych. Krytyka ukraińska zalicza pisarkę do twórców romantyzmu postmodernistycznego. W Polsce lada moment ukaże się druga książka Oksany Zabuzko - zbiór opowiadań, zatytułowany „Siostro, siostro” (WAB 2007)

W wagonie metra

Ta para naprzeciwko kołysze się zgodnie, ramię przy ramieniu,
o jednakowo zasklepionych powiekach, jak u zachorzałej kury
(od ciężko obwisłych podwójnych podbródków – nadęta piłka,
z której jednym wydechem uszło powietrze, a przekłuta – nawet nie mruknęła).
Popołudnie, sješta – albo upał – stoi u góry:
nie z nocy bezsennej to powrót, nie z miłosnego wyczerpania,
nie wtuleni w siebie aż tak, że gdyby próbować rozerwać –
to straciłby świat równowagę i zbójcy zrobiłoby się wstyd. –
Wysysająca duszę, chwiejna, monotonna trasa,
wieczne obok-spanie, z tymi samymi szarymi snami,
wieczna stacja Nuda, jak długo się jedzie – wieczna stacja Tu –
aż do końcowej, która ciągle obecna jest między nami.

Kobieta gdzieś tak po trzydziestce – no, więc jeszcze nie stara,
choć w dekolcie sukni opadają już przywiedłe melony
i twarz jej – plama cementu, którym zalepiła się dziura,
gdzie tunelowo poświstuje przeciąg po dawnej (dziewiczej!) dumie –
tylko usta obrażono-obwisłe i w kącikach ledwo puszczają bąbelki
wygasające soki, z ciała uciekające siły.
Ta kobieta – naprzeciwko: rząd przez los pomyłony –
to mogłabym być ja. Gdybym za ciebie wyszła, mój drogi.

(tłum. z j. ukraińskiego Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

[Taka okrągła jak globus], Przebudzenie

Taka okrągła jak globus
moja czułość dla ciebie – nagiego, dla ciebie – śpiącego, dla ciebie –
chłopczyka z podkulonymi nogami i nosem zarytym w poduszkę:
dla twojego rozspanego obrażonego mamrotania, kiedy trącają w ramię,
dla nieprzytomnego mrugania, boleśnie ściągniętych brwi na włączone światło
(piękny obraz znęcania się nad niewinnym) –
rozczerwanie nie do przełknięcia: dławi łzami w gardle.

Zdrowy, silny mężczyzna,
który w dzień podrzuca mnie jedną ręką jak w tańcu,
otula ramieniem i śmieje się znad mojej głowy
do świata nastawionymi zębami,
który gładko radzi sobie z natłokiem upartych, tępych, niesfornych przedmiotów

(samochód, skalpel, fura desek, góra nie umytych garnków) –
rozpostarty pod kołdrą
na całą długość bezwładnego, ciepłego ciała,
czy pogodnie sapiąc, czy z bezradnym pomrukiem kuląc się w siebie
(odwracając się do ściany,
osłaniając się łapą jak psiak: nie ruszajcie, proszę...) –
wystawiasz mi na pokaz
całą bezbronną istotę ludzkiej rasy: zniszczalność.

Ślimak bez muszli –
Cieniutkie ździebełko wyrosłe na poligonie –
Niemowlę w wózku pozostawionym na pastwę losu –
Pokorny idiota, co się do wszystkich uśmiecha w ludzkim tłumie –
Beznogi pośród drogi –
Kobieta w nocy na pustej ulicy –
Zarodek w macicy przed skrobanką –
Skórka na płatkach róży płacząca od dotyku –
Okno na świetle niczym oprócz łyż nie przykryte –
Każdy z nas w każdej chwili zupełnie nieświadomie –
Śpiący mężczyzna.

Przebudzenie

Jeszcze jesteś tutaj – już nie na wyciągnięcie ręki, ale jeszcze
w tym mieście, gdzie kaszle ściśnięta przestrzeń; w rynnach
pochlipuje deszcz – na ten dźwięk wynurzam się ze snu,
rozpoznając nie pościel, nie dom, tylko odległość do ciebie:
jeszcze jesteś tutaj. Jeszcze nas oboje ogarnia to samo powietrze
mamrotania-szeptania, drżące od niepewnych, niejasnych rozmów: „Śpisz? –
Wiesz, zrozumiałam... – Powiedz mi. – Potem...” nie wspomnienie,
ale wspólne powietrze, które dźwięk głosów przechowuje: tak popiół
zachowuje ciepło po ognisku: przepełnione oddechami, gęste –
jeszcze jesteś tutaj. Twój samolot jeszcze czeka. Jeszcze objęć-pełne-ręce
odrzucają od siebie twardą ostrokałość przedmiotów. „Śpisz?”
(Twoje milczące pytanie – w tym momencie – przez tubę przejścia
do wnętrza samolotu.) – Nie śpię, tylko czuję
ubywanie twojej obecności – jak wyciekanie z rany
życiodajnej wilgoci – w chłód i w pustkę, w nigdzie.
To pluszcze deszcz.
Przez zamknięte powieki wciska się światło.
Ale ja i bez tego już widzę zegarek:
wzlatuje
samolot.

(tłum. z j. ukraińskiego Aneta Kamińska)

Nowe prawo Archimedesesa

„Nie rusz moich kół” – tak, według przekazu, powiedział pogrążony w rozmyślaniach
Archimedes do rzymskiego legionisty, kiedy wojsko rzymskie zajęło Syrakuzy.

Nb: koła dla starożytnych Greków było nie tylko formą zapisu myśli, ale również symbolem spójności i suwerenności życia duchowego w ogóle.

Nie rusz moich kół – moje koła do ciebie nie należą.
Hen-hen maleńki statek z morzem nieboskłon zszywa.
Po trochu burzy się i pustoszeje plaża. Zaczyna się katar.
Zbieraj ręczniki i parasole – ale nie rusz moich kół.

Są samorządne – jak w kamień wcałowane przez morze,
ale i znikome – piaskiem-pod-wiatrem kruche.
Jeśli jutro nasz świat upadnie, jak Sodom i Gomora,
to właśnie dlatego, że koła wyniszczał ponad miarę.

A ja swoje długo pielęgnowałam (wychowywałam, hodowałam) –
aż wreszcie wydobyło spod nich jak fosfor jaskrawe,
że – nie, nie bywa się bliżej niż ciało do ciała
W naszym świecie.
Nigdy.
W niczym.
Z nikim.

Co ma do tego ciało? O lustro, kim jest ta kobieta?
A ty się do niej śmiejesz – choćby zaraz gotów na śmierć,
i wszystko, co mogę naprawdę dla ciebie zrobić –
to kochać cię jak w obliczu Boga i morza: NIE ruszając kół.

O tym – wszystkie drzewa-i-ptaki (szeleszczącym listowiem),
i ryby w morzu, i zwierzęta w polu – o tym samym:
n i e r u s z m o i c h k ó ł – bo nie ma z nich dla ciebie pożytku,
bo poza swoimi – niczego w życiu nie znajdziesz.

O, wiedział mądry, co mówi, kiedy tak wyróżnął
napastnikowi w oczy – na dwadzieścia potomnych wieków.
i mówię po helleńsku: me mu tos kiklos tarate –
mężczyznom,
imperiom,
czasowi:
nie rusz moich kół.

Rodos, 29.04.2000
(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

W drodze do piekła

Jesteś ciałem, wciśniętym bokiem w napęczniałą walizę autobusu:
twarz akurat mieści się w czyimś bucie, od którego noga
gdzieś w przeciwnym kątku wypełnia zwolnioną rurkę przestrzeni
do spółki z damską parasolką; z tyłu do pośladków
mocno, na śmierć przyspawał się męski dół – i mimo ciasnoty

jakoś tam nawet się rusza; byłoby lepiej, gdyby tego nie robił,
bo jeśli, nie daj Boże, się spuści,
to zupełnie popłami mi spódnice,
i kiedy rozewrą się zamki błyskawiczne klap, i powytrząsa nas,
to przede wszystkim trzeba mnie będzie zaprać.
Najgorsze jednak, że w tym tłoku już nie wiem,
czy myśli, które myślę, są naprawdę moje –
czy może przyszły spod tej potarganej peruki,
którą już od dwóch przystanków (dwóch lat czy dwóch żyć) usiłuję wypluć –
a to serce, przez które, myślałam, że cierpię,
bije na odwrocie krawatu, który zagiął mi się
na samym nosie. I wszystkie odczucia –
pojedyncze, zdeformowane – które przepływają przeze mnie,
należą do kogoś, i jestem tylko publiczną toaletą złości i bezsilności.
O! – przychodzi mi do głowy. – Wiem, już wiem, gdzie jest wyjście:
Chcę Golgoty, chcę krzyża – oto, gdzie można
rozprostować ręce-nogi, nie bojąc się, że się zaczepi
złoczyńcę z lewej albo złoczyńcę z prawej,
i wnieść oczy do nieba, i przypomnieć sobie własne imię!

Idiotko – odpowiada gdzieś przez mikrofon metalowy głos centuriona –
najwygodniejsze krzyże rozdzielono jeszcze w zeszłym stuleciu, resztę zaś,
podzieliwszy na belki, pocięto na deski:
z jednego krzyża w ten sposób wychodzi prycza,
na której można położyć pokotem sześć osób,
a jeśli dwoma warstwami, to nawet dwanaście.

Boże, co się dzieje – chcę zmieszana wybąkać,
ale właśnie mój język ktoś podał do skasowania.

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Rozmowa

I schwytane ręce z chrzęstem uwalniasz: śmierci
nie ma! i wolności – nie ma! a w miłości – ciała i ciała.
– Słuchaj, powiedz mi...
– Szczerze?
– Szczerze –
I palce wystukują marsza o blat stołu.
– No, dobrze. Jak nie chcesz, to nie.
– Co tobie? Co się stało?
– Nic się nie stało, po prostu nie stukaj! Ten dźwięk jest nie do zniesienia! –
– No, przepraszam! A co, papierosów już nie ma? –
I palce zaczynają kruszyć bezbronny chleb.
Milczenie. No tak. Poznają cię, chwilo rozstania
(całym ciałem nagle osiągając przyciąganie ziemskie).
Przez wypalone obszary mózgu – jak przez sawannę
bizonem zaszczutym – rozpacz na oślepną gna.
Te spieczone usta, na cynamon (oblizął) pociemniałe

(głośny łyk) – to wszystko na odległość ręki.
Ale to nie ziemia pod stopami – to czas pękł między nami,
i w szczelinę wdarły się wody, rozmywając twarz.

Jak nas rozdziela!

– Więc co chciałaś usłyszeć?

– Nieważne. Już nie chcę.

– A ja domyślam się, co.

– Naprawdę?

(Obustronne pobrzękiwanie ironii chyba otrzeźwiło
nas oboje – jakby w ranie kość uraziło nożem).

To ciągną się żyły – tak tęsknie, tak żałośnie, tak dławiąco,
z głębi dusz wyciągając cebra – puste.

To my rozminęliśmy w ciasnej półmroczonej jaskini –
pokoiku, rozdzielonym na różne warstwy czasowe.

I ty, który jesteś bardziej-niż-równy-mi – nie pocieszyciel,
ty sam też mógłbyś powiedzieć na głos: „Zrozum,

za nasze, przez ludzi i Boga przekłete, braterstwo,

rodactwo, wiedźmiństwo – należy płacić życiem,

należy płacić – przez lata, a może i do zgonu,

pozbyć się siebie, zaorać wszystkie własne drogi” –

i wstając, pocałujesz mnie w czoło jak ikonę –

a spieczona usta wydadzą się suche jak opłatek.

A mimo to – milczymy. Ciszy przybywa jak wody

i ręce leżą na stole – jakby znaczyły miedzę między nami.

I nagle:

– Więc co? Zdaje się, chciałaś wolności?

.....

– Herbaty chciałam. A herbata już wystygła – mówię.

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Jurij Izdryk

7 stopni wolności

(Wiersze wolne dla Anety)

1.

Moje stosunki z kobietami

dość dokładnie oddają

moje stosunki z rzeczywistością,

co nie jest dziwne,

przecież kobiety to właśnie jest rzeczywistość,

a przynajmniej to jej przejście graniczne,

przez które wchodzimy tutaj

i przez które wyjeżdżamy na zawsze

w nieznanym kierunku.

W moich stosunkach z kobietami
jest dużo bezinteresowności i zaufania.
Rzadko urządzamy kontrole paszportowe
i nigdy nie wypełniamy deklaracji celnych.
Dlatego bardzo szybko znajdujemy się w sytuacji niepożądanych emigrantów
albo i person non grata.
Dlatego najwięcej czasu spędzamy w strefach duty free,
gdzie wolnością jakoś nawet nie pachnie,
gdzie światło non stop tylko uwydatnia ciemność dookoła,
skąd nie ma dokąd się udać,
gdzie nigdzie nie ma i wrócić,
nigdzie nawet palca wcisnąć,
gdzie dookoła – cudzy mur.

Wyjaśnijcie jedno:
dlaczego ani razu nawet nie spróbowałem
przekroczyć granicy nielegalnie.
Przecież w mojej rzeczywistości jest tyle otworów,
przez które na pewno można przedrzeć się na zewnątrz.
(ps weźmy choćby tę fryzjerkę z Niżyna...)

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Marija Szuń (1962)

Supermarket

Zaczyna się
od kawałka sera
starego Lukrecjusza Carusa –
o naturze rzeczy,
ser staje się urzeczowiony,
oprawiony w brzuch,
gdzie ser roztapia się
wycalowany
i wyceniony
albo na zdjęciu w gazetce reklamowej.

Lukrecjusz Carus
schodzi na
dalszy plan,
ustępując
kawałkowi starej
białej materii,
zadeklarowanej w
obiadowym urzędzie celnym,

że to jednak jest ser,
a nie coś innego,

z którego można
ulepić
konstrukcję
białego kruka,
gotowego zakrakać
albo grzyba sero-jadkę.

Albo ulepić
konika
z całym wojskiem –
na grabież
całej kaszy skarbnicy
ogromnego supermarketu
z bezlikiem
mięsa i piwa
na pociechę i na zakąskę
swojemu twórcy –
panu Lukrecjuszowi Carusowi –
do wieczery natury rzeczy.

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Nazar Honczar (1964) Ukraiński poeta i performer. Autor poematu-komiksu *Kazka-pokazka pro Bajdu-Nemowu* (1993) oraz tomików wierszy: *Zakon wseswitnioho merechtinnia* (w: *ŁUHOSAD: poetycka ariergarda*, Lwów 1996) i *PRomeneWIST'* (Kijów 2004). Laureat nagrody BU-BA-Bu za najpiękniejszy wiersz 1989 roku. Członek grupy literackiej „ŁUHOSAD”. Mieszka we Lwowie. Wielokrotnie występował w Polsce. Jego teksty zostały opublikowane w antologii *Wiersze zawsze są wolne. Poezja ukraińska w przekładach Bohdana Zadury*, a także w pismach „Ha!art.” i „LiteRacje” (w tłumaczeniu Anety Kamińskiej i Andrija Porytki). Stypendysta programów: „Homines Urbani” (2005) i „Gaude Polonia” (2007).

go-o-ol

weźmiemy się nawzajem w naręcza
!jak się wpijemy-upijemy ustami
ty mój przytułek
ja twój
jesteś taka głaskawa
!a jaka ciekawa
twoja pierś prawa
czyli lewa
to prawa – moja ręka
!a jaka tkliwonoga jesteś
między
nami
nie ma
nic
bo
my
jedynie
o!całunek

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

modLENIE, boLENIE, goLENIE

modLENIE

boże bo
nie chce się
prać skarpetek
słipek itd.
nie chce się ubierać i roz-
ani cierpieć z gorąca i chłodu
głodu i... wście
...chłać i żreć
srać i śmiecić i... umrzeć
nie chce się
jeszcze i zarabiać na to
...i odmawiać sobie słodczy smakowej
nie chce się
... ja nie kapryszę boże
po prostu nie chce się
walczyć zabiegać [o! szczęście?]
nie chce się zaprzeczeń

chce mi się
– wybaczyć obrażeni
taką szczerością –
chce się
to pobawić milutko z żoną
to pograć z synem w kumalki
to poobcować z bogami i człowiekiem
bez-słów-nie
chce się stwarzać-poznawać
...nie chce się pisać
publikować sławy zdobywać
choć pisać to nieźle by było
ale gdyby tak leciutkim piórkiem
...e-ech!
chce się ładu
wszechładu
...nie chce się
robić porządków
...chce się błogostanu
nie chce się błagania-modLENIA

boLENIE

zegary biologiczne – też

nie są wieczne
wiem: nadejdzie czas –
i dowiem się co to znaczy
być wciągniętym
do czarnej dziury

nie wiem czy długo
potrwa ta wiedza
czy tylko w przeciągu wciągania
czy tam też
i czy moja pamięć
która pojmuje i wysłowione i nie-
czy ona będzie na-leżeć do mnie
czy do tej czarnej dziury

czy będę tam umiał
czytać-pisać?
czy spotkam tam tatę
i wszystkich-wszystkich swoich przodków
i czy będzie nam tam o co spytać
czy wszystko już tam będzie uchwycone?
a co z poczuciem czasu?
czy nie będzie czasu?
zawsze będzie nigdy?
i nigdy się nie rozładuje
ładunek tej dziurze?
i nigdy nie wciągnie ona
wyłącznika do siebie?
a jeśli wciągnie
to czy utrzyma sito
przez które się nie przesieje
puszka Pandziury
i czy przepuści się mi mnie
nie-pokalan-ego?

goLENIE

może jest ziarno w
wersji według której podobno
:ci co się golą –
gorliwi do dyscypliny z silną wolą
:ci co zarastają –
wolność wolą i tak dusza na golasa
to po co golić twarz!

ale co w takim razie z kobietą
która się nie goli i nie zarasta?
skąd mogę wiedzieć nie wiem nawet

co to biec cycato
a co dopiero mówić o tym
jak to jest między nogami tej kobiecie
powiedzmy podczas biegu

bóg ją tam wie
a ja nie mogę! a tak przy okazji:
czy wszechobecny-samoistny-
wszechmogący
umie wątpić w swoje siły?
i czy jest hermafrodytą czy androgynem?
goli się czy nie?

i jaki mam pisać testament?:
czy kazać się golić na tamten świat?
i czyimi rękami się wyręczyć?
czyj głos prosić o wniebogłosy?
czy kazać się nie chować ale eksponować
odpowiednio do tego spreparować
– ogryzmolić w esy-floresy –
ála ja – ale czyimi rękami?
czy zapisać w testamencie panu-bogu
przypomnieć słowo które by jego
głowę (ba i serduszko) naumiało
jak gorliwiej lubić hołubić
gołoprawdę?
i na kogo przepisać-przepatentować
slogan-markę
rozgolona zamarała natura
(akt z martwą naturą)?

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Iwan Łuczuk - ukraiński poeta. Pracownik naukowy Lwowskiego Oddziału Instytutu Literatury im. T. Szewczenki Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, wykładowca języka scs na Ukraińskim Uniwersytecie Katolickim. Współzałożyciel i członek grup literackich: „ŁuHoSad” (Łuczuk, Honczar, Sadłowski), „Heraklit” (Holinni Entuzjasty Raka Literalnoho), PUP (Planetaryny Urząd Palindromii). Autor tomików poetyckich: „Rytm polusiw” (1996), „Sonetiji” (1996), „Palindromony” (1997), „Trydziat try sonetiji” (1998), „Sto odne szczos” (2002), „Trochy biłoho switu” (2005). Felietonista „Lwiws’kiji Hazety”.

Co nieco o ja dawnym i nowoczesnym cudzym i własnym

Ja ptak siedmiooki,
do tego ja dozorca: siedem-osiem listków
zmiotłem,

ja trawa, ja niebo, ja ręka, ja noga,
ja guzik, ja płyta gazowa,
ja wycieczka do zamku w Olesku,
ja przymknięte oko,
ja siedzę na tarasie i
ja mlaskam przy jedzeniu.
Ja porządny, ja wyprasowałem spodnie,
ja zapomniałem, że ja miałem przyjść gdzieś tam na siódmą,
ale ja wybrudziłem sweter
i ja nigdy nie noszę zegarka.
Ja pierwszy, ja ostatni, ja nijaki.
Ja wreszcie znalazłem nieskasowany
bilet na tramwaj, bo bez niego
ja nijak nie mogłem wyjść z domu.
Trzeba zajrzeć do encyklopedii –
co to takiego ja, lecz tam pod bukwą ja ni-
czego nie ma.
Ale czort z nimi – z tymi ja
i pewnie czort ze mną.
Ja – jaja (najprędzej – od strusia).

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Iwan Andrusiak

Zamawianie z gołębiami; [z powietrza w powietrze przenurza się twoje ptactwo]

przepłyn mnie przez anioła
przez aniołka aniołeczka
o białych skrzydełkach białą cyrylicą
z duszyczką nad ustami
na błękitnej wodzie

no przepłyn mnie przez anieleń
poprzez wiatr lewadami
haftowaną wodę krzyżykiem
głosem łysicą nitką okrętu
z duszyczką nad ustami

no przepłyn mnie przez anielątko
no przytul się sobie z każdej strony wody
no przytul się mi w jej anieleść
białymi skrzydełkami haftowana anieleńka moja
anielanna moja anielenna z duszyczką na policzku

no przepłyn mnie przez anieleniątko
poprzez kręgi cyryliczne w błękitnej wodzie nad ustami
duszyczką okrętu na dłoni anieleść moja anieliść

rozbrzmiewając krzyżykiem ponad lewadami
łysicą ponad haft ust anielelum

no przepłyń

z powietrza w powietrze przenurza się twoje ptactwo
jak w klepsydrze woda z niczyjego oka snu
tu mleczne wiankami znaczą i skłonność i skłon
w delikatnych dłoniach rozchlapując wiosnę

tu za namiętność oddać się zdarza i zły urok i siebie
na ołtarz czy szafot wymieniając to czym jestem
ale większe niż serce okruszyny twoich łez
jak w klepsydrze słowa wysysają

ż
y
w
c
e
m

w wianku z mleczów co zamknęły oczy na deszcz
w dłoni za ciepłej za wiecznej w ustach z mleczów
w miłości co prawie miłością prawie naszą
w palcach płatkami po plecach
spływać

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Niemożliwości języka

1.

tu za dużo jesieni
jest wchłaniana przez rzekę
i jeśli zanurzyć dłonie między jej ciepłe odczytywanie
da się wyczuwać na dotyk dosyć jędrne litery
lub zaczerpnąć pełną garść ich brzmienia

ale między palcami
cienkie łykowate siedlisko
trzepocze jakby się cieszyło ze swojej beztroski
lub twojego cieniutkiego nieba między wargami

bo tak naprawdę każdy dźwięk wciąż pochodzi z niebios
i w niebiosach roztapia się

zostawiając po sobie drżące siedlisko wodopowietrza
rozkołysane i trwałe między palcami

co pozostaje po nim
oprócz niepewnego
niewymuszonego
gasnącego
drżenia
kto porozsypywał po poboczach dróg te puste puszki
po na trwałe zakonserwowanych kiedyś dźwiękach

odczuwasz jak gęstnieją każdej jesieni
jak gaśnie ich bezprzyczynowe pochlipywanie
zawisnąwszy między niebiosami
wyobrażając
jednoimienne milczenia
które
niszczą się wzajemnie

2.

między brzegami ręcznika
spisano stadko imion
tak że i nie doczeka się
które z nich kogo strzeże
zwierzęta na brzegach
wciąż jeszcze skazane odganiać niewtajemniczonych

język jako współgłos
język jako listowie
język jako gołomówne kosmyki włosów
byłego neandertalczyka
odcięte i wypuszczone z wiatrem
a może dokądś przybiją
jednak odrastają nowe

a one nakryły to gołogłowe gniazdo
i chociaż dźwięków tu za mało
i łączyć ich bez końca nie wypada
jednak i one
strzegą kogoś

dotychczas

* * *

kiedy z niecierwia a kiedy z niecierwca
z nielipca sinego z niesierpnia na wodzie
z niewrześnia miodowego na odpust
z otchłani słów przeznaczonych by płodzić
swoje chabrowe pożytkowane życie
swoje westchnienie umoczone w wietrze

westchnę z nim - niech się sobie pocznie
niech wypłynie z kruchego chrzęstu
z którym w śliwę przenikają czerwie
niech żrąca czarna gorycz
którą po sobie czerwie zostawiają
nie pryska w przydrożne niebo
nie chmurami chłodnymi z niesierpnia
a tylko pleśnią wypełni usta

bo siwą pleśń jeszcze da się przeżyć
i nawet otarłszy rękawem
w jakimś siwym niegrudniu
ten sam smak wybaczyć sobie

ten sam ruch po którym życie
powróci jędrnymi ustami
nieczerwcowe strąci z owocu czerwie
i - nawet z dziurką - wypije
umoczony w wietrze chabrowy owoc

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Ustami słów (Karpacki półwiersz)

na prawie przyrodnich, prawie przyrodzonych polach
kiedy zamieniasz się w krzczota, czeczota, wilka,
kiedy wymawiasz na swoje zbawienne lęki
zakłęcie na wiatr, na wiarę, na wieczność zakłęcie -

wtedy zaczyna się mówienie cudowne i ciche,
co prawie wyraźnie, prawie zawiśnie w powietrzu,
i prawie wierzenie, z którego nic nie przeminie,
przemknie między słowami w zupełnie inne wierzenie

polami w koło, kręgami w kamień, w niebogłoso,
na wylot jednoskrzydłym, co też zwał się słowami
w ślad czy za wilkiem, czy wilkołakiem w ślad -
byle nie za nami, zakłęcie, byle nie za nami -

bo ci, co za nami - ci, wiecie, po prostu idą,
i świeci im słońce, jak świeci im słońce w drodze,
i nogi ich bose, i ręce, i dźwięki ich bose,
wilkują na wiatr zapomnianą i zranioną złość

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Marianna Kijanowska

wtedy
w nocy
koty zlizują
mleko z księżyca

ślady szorstkich języków
na tej glinie za tą chmurą

brama po ciemku
kobieta

rozumieją nie szczekają
ocierają się o nogi

ta chmura i te koty

czas na przeszłość
czas je pogłaskać
czas w ogóle
dlatego nikt ich nie woła

i kobiecie
wtedy
w nocy
nie jest już tak zimno
jak naprawdę

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Marjana Sawka

Marzec

poobiednio i smutno
dziewczęta
suszą włosy nad gazowym płomieniem

spóźniona wiosna
na czatach
na balkonie pstrokate gołębie

pozimowe ptasie
pióra
mokre pasemka ze słomy

połączany podwieczór
łasi się kotkiem niedopieszczonym

pasmo do pasma
pióro
do pióra mokrego się tuli

w śnieżnych ruinach
kraina
na barykadach ulic

dziwna wiosna
na czatach
mokre gruchają gołębie

suszą warkocze
dziewczęta
łokciami błyskają gołymi

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Krótką historia tańca (frag.)

1.
Posłuchaj, dziecinko, starego mądrego wilka:
w tańcu wszystko ma znaczenie najważniejsze.
Oto zastygliśmy –
nie ma jeszcze dotyku,
lecz oddech nasz tańczy w jednym rytmie,
coraz mocniej i szybciej.
Zaczęliśmy od fokstrota – a czujesz już tętnienie tanga?
Jeszcze chwilę wsłuchuj się w wibrację ciszy,
a teraz podaj dłoń
odnajdujemy punkt oparcia,
i stąd
zaczyna się nasza historia,
stąd
wypływa rzeka obłędu,
brunatny upał
zapada w źrenice rubinowym ziarnem pożądania,
zaczyna w żyłach swą szaloną tarantelę.
Jeśli umiesz, przejdź do końca nad kipiącą lawą
po drucianych mostach.
Wszystko, co ci obiecuję –
to tańczyć z tobą,

być z tobą w tańcu,
być w tobie na dalekich alpejskich szczytach,
łąkach oślepiąco zielonych,
w czarnych szczelinach,
na foliałach egipskiego księgozbioru
na belach czerwonego jedwabiu w chińskim sklepie –
absolutnie wszędzie
wśród paciorków,
wśród piasku
w zwojach wodorostów,
na szeleszczących prześcieradłach,
splątawszy przestrzeń i czas.
...tylko potem mnie nie okłamuj,
że też tego nie chciałaś...

6.

Czy wiesz o tym, że z wiekiem
coraz mniej snu?
Zbierasz go, niczym deszczówkę,
w żelazne kubki,
przeziurawione kulami z czyjejs wojny,
a on głośno ciurka
na podłogę.
Jak tu uśniesz?
Czym tu ostudzisz oczy,
zaczerwienione od wiecznej bezsenności?
Pozostaje w ciszy
bęnić palcami
po rozżarzonych skroniach
rytmy argentyńskiego tanga.
Czasami mi się zdaje,
że w głowie mam
gramofon mojej zmarłej cioci,
w którym podrapana płyta
zacina się
na czternastym takcie.
Każdego razu, kładąc się do łóżka,
jak modlitwę powtarzam:
„żeby przeskoczyć”
„żeby przeskoczyć”.
... I jaka niezmierna rozkosz
na piętnastym takcie...

7.

na odległość spojrzenia
wszystko wydaje się zupełnie realne
nieduże mieszkanie
w którym wszystkie rzeczy

mają dziwny osad nieprzystawania
do samego gospodarza
do stylu i czasu
my też cierpimy
na tę nieprzystawalność którą
wypełniasz sny
i pustki głębokich foteli
co pozostaje
co nam teraz pozostaje
przyszyć guzik do twojej starej koszuli
odciąć nić szerokim kuchennym nożem
przed drogą napić się mocnej herbaty
najważniejsze - nie powiedzieć za wiele
nie potknąć się o spojrzenie
ktoś z nas powie w myśli:
„znów nie mają przyszłości”
ale ty smutny wilku
czyś się przed sobą nie przyznał
że życie jest warte tyle
co jeden jedyny taniec
który już tańczą bez ciebie
ale cóż oni wiedzą o tańcu
cóż oni wiedzą

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Katrina Chaddad

O.

kiedy światło zerka na ciebie spod ukrytych rzęs
widzisz nocne niebo i suche pole – płonie
twój stary niezawodny przyjaciel daje lornetkę
podsadza na dach chylącej się glinianej chaty
(a w niej:
malowana podłoga
siano
stara szafa
a w niej:
paczka herbaty
dwa aluminiowe kubki
trochę miodu na dnie słoika
stare zdjęcia
a na nich:
trzech chłopców
motocykl
długie włosy tego kto nie zmieścił się w kadrze
jakieś drzewa

a w nich:

soki mleczne)
z dachu pochylonej lepianki w lornetce coś tam widać
widzisz zwłaszcza
plamki, rozbłyśki ognia na drugim brzegu jaru, słyszysz trzask
to przybliża się do twoich uszu pole
soki soki soki w tobie wirują
mówisz komuś tam: przedzwoń do mnie jutro
włączasz radjko żeby usłyszeć co ci powiedzą przez telefon kiedyś potem
(a soki mleczne ciekną – tkają swoimi krokami drogi – drogi po których chodzić będzie ktoś
inny – w tobie)

kiedy światło zerka na ciebie spod ukrytych rzęs
ciężko je wchłaniać swoim światłem
prościej zmieniać się w sito
sito.
O.

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Noc cudzoziemców

czas płynie powoli
nie zdążasz zauważyć jego przepływu
i wydaje się, że jest super szybki
ale naprawdę
porusza się w unison z tobą
wdech - w - wydech
krok - w - krok
bicie serca do bicia serca
jest oddany tobie
ten czas

* * * * *

na początku sierpnia bywa taka noc
która zmienia wszystko
przychodzi niezauważalnie jak złodziej
podkrada się i zrywa z ciebie woalkę
o ta noc cudzoziemców
jest taka cierpka
jak spojrzenie włoskiej tancerki
z tacą na głowie
ona przylatuje do ciebie na wpół pustym autobusem
o wpół do pierwszej w nocy
wsiadasz, płacisz za przejazd
i jedziesz
krajobrazy prześlizgują się za szkiełkami twoich oczu
szybko
pojedynczy pasażerowie ubrani w czarne i niebieskie

spojrzenia błyszczące - to jest noc
noc w oczach pasażerów
noc w twojej duszy...
(noc nie jest złem noc to niewiadoma
ciemność nocy ratuje)
po śladach kastaniedy rozrzucone są znaki
przejścia dla pieszych
przejeżdżasz
w bocznym oknie obija się chłopiec, który jedzie za tobą
jego szybkie ruchy trochę dziwią
on tak często robi znak krzyża na sercu - myślisz
czemu on tak żegna sobie serce?
wtedy nagle rozumiesz - nie
on improwizuje w takt muzyki rap
ona brzmi w jego uszach
czy w głośnikach autobusu
a kiedy milknie muzyka
i chłopiec dalej porusza się
spływa na ciebie zrozumienie
on po prostu rozmawia z kolegą
jest głuchoniemy
taka noc bywa na początku sierpnia
przychodzi i zmienia wszystko
na zewnątrz i w środku

*** **

takiej nocy cudzoziemcy schodzą się w wyznaczonej czasoprzestrzeni
zwijają kawałki serwetek niespokojnymi palcami
przebierają gerdany bawiąc się paciorkami
wyliczają trajektorie ruchu planet swojej galaktyki
aby być nadwrażliwymi
ci cudzoziemcy zagłuszają świadomość pozostawiając uczucie
oczekiwania przez nich epifania spływa złudnymi falami
nie wiercie w miłość mówią jeden drugiemu
ona jest jak fala niestała i przemijająca
przecieka przez twoje palce i nawet nie zatrzymuje się pomiędzy zębami
przechodzi przez przeponę i nie można jej zatrzymać
nie wiercie w miłość jest podstępna i jak
przychodzi nasza noc
podkrada się od tyłu pobłyskując ostrzem szabli
nie wiercie miłości mówią jeden drugiemu w olśnieniu
a potem niespodziewanie budzą się
i zapominają o tym co widzieli i słyszeli
i dlatego kiedy pewnej sierpniowej nocy to się staje
kiedy do nich przychodzi jednak ich noc - noc cudzoziemców
oni skaczą w miłość jak w przepaść
i wynurzają się z miłości jak z oceanu

(z języka ukraińskiego przełożyła Urszula Witwicka-Rutkowska)

Jakbym była Margarytą

mogłabym być Margarytą
jakby samotny sprzątacznik znał mnie
choć nie
takiej nieważkości i lekkości nie osiągniesz
wypielęgowanym śmiechem

smutek osiedla się na strychach chat krytych strzechą

nocne ognie
nienazwanego miasta
rozpływają się akwarelami
cieniami padając pomiędzy rzęsami
i pozostawiając swój osad namul swój i pył

smutek osiedla się we włosach cienkostrunych gitar
pod wpływem wiatru usta zawsze pierzchną
oddając swoją wilgoć
on zabiera cieszy się i odlatuje
pozostawiając po sobie pustkę - tak mu się zdaje
i tak wydaje się sennym podróżnym z suchą skórą
i potwierdzają to wyschnięte dłonie z błonami między palcami
smutek

osiedla się
w sercach
porzuconych
osiedli

równo na jedną noc i nie dłużej bo
co rano
budząc się
możesz nie zobaczyć słońca
możesz nie oddychać powietrzem
możesz nie słyszeć być nieczułym na dotyk i nie mieć żadnej myśli
możesz nawet nie istnieć
- to wszystko nie ma znaczenia
kiedy z dworu
nadchodzi niska chmura
brzemienna w pioruny i ruchem
oddychając swoimi płucami
spuszcza na ciebie cały potop wody
i wtedy

smutek osiedla się w oczach przechodniów...
a ty cieszysz się przeskakując z kałuży do kałuży
i otrzymujesz nowe imię
tylko z łaski tego, kto nazywa ciebie Margarytą

(z języka ukraińskiego przełożyła Urszula Witwicka-Rutkowska)

Ołena Husejnowa (1979)

Bracia

Początek ubiegłego wieku
obfitował w braterskie sojusze.
Bracia Czerepanow wymyślali
parowóz.
Wyobrażam sobie dwóch chłopców z bródkami
jak u Wołodomyra Wynnyczenki,
którzy kreślą na cztery ręce.
Mnie ten rysunek przypomina
Miró,
jakby u niego były czarno-białe obrazy.
Na ulicy noc.
Słysząc, jak krzyczą koty i pijane dziewczęta.
Bracia Czerepanow ich nie słyszą –
gryzą ołówki
i rysują śruby.
Nad ranem zaczyna im się podobać,
rozumieją,
że ten potwór jednak
będzie się ruszać.
Rzucają ołówki,
obejmują się,
nalewają sobie nawzajem
wódki,
szybko wypijają.
Znowu obejmują się.
Jest im obojętne, jak patrzą
ze ścian
długobrodzi dziadkowie.
Z tego by wyszedł dobry film,
myślą bracia Lumière
i wymyślają kamerę.

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Bohdan Ołeh Horobczuk

A Więc Spotkaliśmy Się Znowu

twoje spojrzenie było – jak paralityczny rozbłysk od którego straciłem siłę ducha
jechaliśmy w jednym wagonie metra
często spotykałem cię przedtem – w kafejkach internetowych w korytarzach gdzie indziej

uśmiechaliśmy się do siebie nie wiedząc – kim jesteśmy i co tutaj robimy i dokąd idziemy i
po co
ale dzisiaj wszystko było inaczej
ja siedziałem na skórzanej ławce wagonu czytając antologię beatników – Gary’ego Snydera –
dokładniej
ty weszłaś do wagonu – poznałem cię od razu
stałaś koło drzwi bokiem do mnie – patrzyłem na ciebie nie odrywając się – jakbym cię pił
potem odwróciłaś się – spojrzałaś bacznie – i uśmiechnęłaś się – jak mi się wydaje – umiesz
tylko ty

nie wiem jak się nazywasz – nie interesuje mnie to
nie wiem kim jesteś
ale uderzyło mnie tak jakby Gary Snyder ożył i wcielił się w swoje teksty

byłaś w jasnoczerwonym płaszczu czarnej spódnicy i czarnych pantoflach
twoja torebka była przygaszono czarna, takie same rękawiczki
miałaś spięte szpilkami włosy
masz ładne oczy cała jesteś ładna
i wiesz o tym

wyszedłem za tobą z wagonu metra
jechaliśmy blisko siebie ruchomymi schodami a potem ty poszłaś i ja poszedłem za tobą –
szybciej i szybciej
więcej się nie odwracałaś i tak doszliśmy do uniwersytetu i ty poszłaś do szatni a ja – dalej od
ciebie
ale jeśli czytasz ten tekst – wiedz – pamiętam cię
jesteś nieobojętna wszystkiemu co we mnie żywe i może bić i drgać – delikatnie
jeśli czytasz ten tekst – uważaj – że znaleźliśmy się nawzajem – ale nie tak jak wszyscy się
znajdują – tylko głębiej i tajemniej
a niczego innego przecież nie trzeba
chcę żebyś o tym wiedziała

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)

Andrij Lubka - Urodzony w 1987 roku. Ukraiński poeta, tłumacz, eseista i krytyk. Autor tomików
poetyckich: *Wisim misiaciw szyzofreniji* (2007) i *Terroryzm* (2008). Wiersze drukował w pismach: „Kyjiwska
Ruś”, „Szo”, „Wseswit”, „Potiah 76” oraz w almanachach: *Dżynsowe pokolinnia*, *Karpatśka sałamandra*, *Korzo*.
Laureat nagrody literackiej „Debiut” (2007). Jego wiersze były tłumaczone na język węgierski, rosyjski,
angielski i polski.

Kręcimy dwutorowy film.

Pierwszy akt fabuły ma miejsce na początku ubiegłego wieku w Kijowie,
drugi – teraz w użhorodzkiem akademiku.

A więc, jest trzecia w nocy, siedzi Tyczyna z Rylskim, chleją,
opowiadają pieprzne anegdoty, mówią o sporze literackim, potem
zbaczają z tematu i znowu piją.

W tym czasie w akademiku w Użhorodzie ja, kurwa, nie oddaję się swojemu
ulubionemu zajęciu, ja, kurwa, nie śpię, też mam jutro rozmowę o

sporze literackim, przede mną jutro Sąd Ostateczny – przygotowuję się do egzaminu.
Pawło Hryhorowycz Tyczyna wygłasza toast – ja wychodzę do toalety.
Na sedesie siedzę z książką – mam jutro egzamin, Rylski coś mówi
o heksametrach, kurwa, ja nie nauczyłem się jeszcze nawet połowy.
Kończą mi się papierosy, kurwa, wszystko przeciwko mnie:
jutrzejszy egzamin, pusta paczka, trzecia w nocy, kurwa,
Tyczyna z Rylskim, ich heksametry, kurwa, moja senność.
Głośno przeklinam, dopalam pety, w tym samym czasie
Pawło z Maksymem zaczynają nową butelkę, kurwa, mam
jutro egzamin, też nieznośnie chcę się napić.
Każdy z nas trzech myśli o swoim:
Rylski z Tyczyną o niedbale przeżyтым życiu, ja –
o nieudolnie przeżyтым semestrze.
Maksym Rylski drobno kroi kiszone ogórki, ja spluwam,
chce mi się płakać, a jeszcze bardziej chce mi się napić i spać, bo
mam jutro egzamin, bo żadnego papierosa, bo, kurwa, chcę spać.
Zaczyna się rozwidniać, bolszewicy wspinają się po stromych brzegach Dniepru,
lśnią czerwone flagi, Tyczyna z Rylskim kładą się spać.
Ja otwieram nową książkę, zaczyna się fabuła o Wołod’ku Sosiurze.
Kurwa, chcę spać, mam jutro egzamin, kurwa.
Film jest wart Oscara.

(tłum. *Aneta Kamińska* i *Andrij Porytko*)

Elton John

Tutejsze dziennikarki piszą,
że niewiarygodnie poszczęściło mi się z nazwiskiem,,
zupełnie nie wspominając o jesiennej depresji, zimowej beznadziei.,
Przyjechałem tutaj czytać wiersze, dlatego piszą.,
Ale gdzie są te bolesne blizny na ciele, oczy zmęczone ekranem i porankami,,
gdzie te wszystkie przypadkowe znajomości, te niemożliwe spotkania,
te obowiązkowe pożegnania,,
gdzie znikła chryпка, opustoszałe ulice, nocne latarnie, przez nikogo niezapalone,
niech to diabli wezmą, czemu tego wszystkiego nie ma w ich artykułach?,
Chciałbym, żeby napisały o tym, że przed chwilą,
zaczął padać śnieg, wiesz, jeszcze mokry, ale już biały, rozumiesz,,
rano wszystko będzie białe, miękkie, wyobrażasz sobie, jak w nocy będą wyglądać
obfite opady śniegu?,
Chciałbym, żeby napisały o tym, że nas rozdziela,
wszystkiego jakieś dziewięćset kilometrów,,
że nas nie rozdzieli nic, nawet ten śnieg.,
Tylko dla ciebie jest zdolny do każdej durnoty, tylko dla ciebie,
mogę stać na jednej nodze, przychodzić z kwiatami,,
stroić obłądne miny, pisać wiersze.,
Tak, jestem twoim maleńkim głuptyskiem,,
któremu niewiarygodnie poszczęściło się z nazwiskiem.,
Eltonie Johnie, zaśpiewaj mi o mojej lubej.

(tłum. *Aneta Kamińska*)

Awitaminoza

Pisać wiersze:

w pociągu, barze, na ulicy, na kolanie,
czytać gazety, instrukcje, brać do rąk almanachy,
inne paskudztwo, kwiaty, robić z siebie piękności, liderów,
alkoholików, mówić modlitwy, wiersze, menu, pić
gorzałę, gorzałę, gorzałę, a potem piwo, a potem piwo, pokonywać góry,
zbocza, podejścia, odległości, kochać przede wszystkim siebie, oprócz
tego szczęście, wypitkę, pieniądze, ładować na siłowni, ładować
telefon, wypijać słońce po 50 gramów, po 100 gramów
albo z gwinta, pić i pić, wypijać i dopijać, kochać,
kochać ten świat, tę plackartę, tę jesień, o daj Boże
nie skurwić się, o daj Boże napić się, duch święty czyta
wiersze w moro, choć tak naprawdę jest anarchistą, gołąb
zlatuje z niebios na scenę, pisać wiersze, podania, skargi, jeździć światem,
autobusem, w swojej wyobraźni, narkotyki pochłaniają lekcje,
erekcje i bioprądy, chodzić na golasa i czytać wiersze napisane na
genitaliach, żyć dowoli, o głodzie, być: studentem, stolarzem,
gubernatorem, poezja to zawsze niepowtarzalność,
bić jeleni, bić pianę, wyszukiwać czaszki
w zaspach śnieżnych, lawinach, popijawach, pić i pić,
pisać wiersze, opowiadania, tezy wystąpień, olać problemy,
wyjazdy, pojazdy, myśleć o kobietach, kobietach,
kobietach, poza tym pić, wypowiadać imiona, nazwy
ulic, nazwy galaktyk, odpowiadać przed bandziorami,
zalewać świadomość procentami alkoholu,
powodzia grzybów halucynogennych, wspomnieniami,
czuć zapach wymiocin, smak wierszy Baudelaire'a
homoseksualizm Verlaine'a, alkoholizm
Szewczenki, badać opadłe liście,
kobiece piersi, kronikę samobójstw,
smażyć łososa, palić włosy, wspomnienia
o ukochanych, stale myśleć o seksie i tekście,
przynosić w ofierze autorytet, zatrucie alkoholowe,
awitaminozę, wdychać parę od kawy, wonności wodorostów,
zapach twojej pochwy, twojego potu, twojego jestestwa,
szukać światła, drogi, latarki, wyryć
wspomnienia, drzewa, ciebie, przechodzić na
wiersz bez znaków przestankowych, czytać wyznania,
słuchać szeptu, być na świetle, umierać – to nie jest proste, proste jest
chodzić, kłaść się do trumny, pozostawać samym sobą.
Czekać na ukochane, esemesy, mejle, pociągi, przyjaciół,
zdejmować z ciebie bieliznę, a więc kochać tylko siebie i jeszcze dużo innych,
obiecać, kłamać, rozlewać wódkę, grać na skrzypcach, pić kawę,
być na haju, chociaż życie dało ciała, podśpiewywać piosenkę,
mieć długie włosy, jeść i jeść, pić i pić, poza tym
kochać, żyć i żyć, spać i spać, kochać-kochać,

lubić-lubić, spać z tobą, spać w
samotności i zawsze chcieć
żyć i wyspać się.

(tłum. Aneta Kamińska)

James Bond

Czasami lubię zapisywać sny wierszami,
najczęściej nierymowanymi, bo jak można zrymować
ładunek elektryczny twojego nagiego ciała, które leży obok i
tę niespodziewaną ulewę, te zapocone okna?

Po torach w nocy poruszają się pociągi, jak
prąd elektryczny po liniach sieci, jak menele w
kierunku punktu skupu butelek, jak zafrasowani
przechodnie do pracy, jak ja do ciebie.

No, i na chuj, skoro ta partia jest przegrana, nie ma
straconych i odzyskanych pokoleń, są
fabryki wódki i likieru, są góry zabitych
nikotyną koni, są stulecia aborcji i
homoseksualnych ojczulków moskiewskiego
patriarchatu, żaden mesjasz nie wyciągnie nas z
tego łajna, pozostaje przeprowadzić się na
inne planety, łowić ryby w innych jeziorach, nie
żywić się w tych fastfoodach, nie rzygać
tym ciepłym piwem, nie wspominać zmarłych
przyjaciół, pierwszego doświadczenia seksualnego, daty
naszego poznania się, zapomnieć ulubione wiersze,
zapomnieć o polityce, o kurestwie pod tytułem
gospodarka rynkowa, przecinać neutralne strefy
w poszukiwaniu cywilizacji, nasz
kraj Azteków, nasi buddyści, nasz Koran,
nasze Marlboro.

Ale trzeba się napić, bo Bóg patrzy na mnie i
mówi:

My name is Bond.

James Bond.

(z języka ukraińskiego przełożyła Aneta Kamińska)

Sofija Sitało

Nie martw się, ja się nie martwię

Usta pełne szczerości.
Pocałunek od nowego akapitu.
Usuwałam resztki z zastawy i bardzo, bardzo,
bardzo skromnie,
bezwstydnie skromnie
uśmiechałam się.
Mówisz, że ze mnie martwej zrobisz kukłę,
choć umierać tak po prostu jest
nieetycznie i być może niewystarczająco.
Prowincjonalnym wzrokiem zauważam, jak grzeźnie między dźwiękami jedno westchnienie
jakie do mnie miałeś,
jak pęcherze nabrzmiewają słowa rzucone w twarz niczym krople rozgrzanej oliwy.
Mówisz, że jeśli jednak ciebie zabiję
stwierdzą
że umarłeś z powodu choroby.
Nasza ślina zmienia konsystencję.
Sądzisz, że właśnie to
skleja świat do kupy.
A ja podejrzewam,
że my –
to za ledwie – ledwie
serial,
że świat tak naprawdę trzyma się na smarkach,
na mojej sentymentalności,
na słonym smaku twoich rzęs.
Ciągle noszę w zębach swój uśmiech,
niczym zdobycz.
Nie przerywaj mi kiedy milczę.
Nie prze-ry-waj.

* * *

a ulice rosną jak włosy wciąż dalej i dalej
przecinając w ciszy kroki i zdmuchując białe ciała babki, białe i ogromne
i skrzyp huśtawek i centymetrowa kokardka na talii
planety i drogie jak pierwsze laleczki przejawów sympatii
pęsety słonecznych promieni, w których my na osobności
tylko w kałużach jakieś odbicia niezrozumiałej treści
tylko autobus zatrzymał się i odsikał po prostu na pierwszym przystanku
tylko najcieńsza skibka uśmiechu nie wie gdzie mogłaby przysiąść
i dopóki wieżowce ślimaków przesuwały się zmieniając adresy
można czas pociągnąć za uszko i porozstawiać wszystko na miejscach
tak ja trzymam się za twój bukietek tak ty trzymasz się za swoje Rh
tak wszystko jest poważne tak z twojego nadgarstka wystaje gwóźdź

* * *

Kiedy powietrze miejscami lśniło, miejscami kłębiło się, a ja straciłam gwiazdy
gdzieś na dachu zimy, gdzieś mniej więcej w listopadzie
tyś, serce moje, wybiło strach mój na zewnątrz,

i rozkwitała od tego na różowo moja bielizna,
jak od kul. I potem ktoś wkładał ją zamiast mnie, a ja
w poranek zanurzałam się i cisza stała w głosie tak, jakby głos –
był cerkwią – uroczyście
pokornie i długo. I wtorek rozpalał się, niczym kaljan
syn ludzi i zwierząt domowych, i miasto
szło do światła i spalało się. Zima arogancka i gwałtowna
kotłowała się pod podszewkami kiedy tyś bolało mnie i kiedy
nosiłam ciebie, serce moje na rękach
w pieluszkach z papieru śniadaniowego, jak kawałek chałwy.

(z języka ukraińskiego przełożyła Urszula Witwicka-Rutkowska)

Viktoria Czerniachivska Urodziła się 21 marca - w Międzynarodowy Dzień Poezji. Wiersze zaczęła pisać na pierwszym roku studiów oczarowana bohemą studentów w starych wełnianych szalikach. Tych pięć uniwersyteckich lat weszło do pierwszego tomu poezji *Ja, Ty, On, Ona*.

kraina marzeń

być częścią tłumu – uszy-płuca
oddychać wilgotnym powietrzem deszczu lub muzyki,
nagle zauważyć błyskawicę prawie nad sceną –
zamykam się od świata na błyskawiczny zamek i guziki.

pragnę nie być słabą, nie być zimną,
pragnę choć raz odróżnić fałszywe od prawdziwego.

trzeba przytrzymać brzeg sukni wchodząc po schodach,
żeby nie stoczyć się w dół, taki nieosiągalny.

kto wie dlaczego świat przynosi mi wciąż prezenty,
kto wie po co wręcza mi czekoladowe medale.

jutro będę dzwonić do drzwi i błagać
teraz mogę pięknie się pożegnać i iść sobie dalej.

7.7.2007

* * *

jutro wyjdę szukać ciebie,
będę w przezroczystej sukience.
sygnały w telefonie przenikliwe i niepewne
znów abonent niedostępny.

widzisz, teraz wszyscy mnie rozpoznają –
przecież jestem w przezroczystej sukience.

a uśmieški ich naprawdę złośliwe,
a brwi ich zmarszczone.

mam teraz przepiękną maskę –
mam przezroczystą sukienkę.
łzy na twarzy wytarte do sucha,
serce bije ciszej.

żyć teraz jest tak radośnie, radośnie –
przecież jestem w przezroczystej sukience!
tylko nie wiadomo z kim gram.
tylko abonent niedostępny.

* * *

dłonie me blade
otulają sobą niebo
dziś sama jestem święta,
nieosłonięta, bo sama
wieczór chłodno gładzi skronie,
zagląda mi pod żebra
chowam w swoich płucach
to czego w twoich nie ma

1.10.2007

* * *

intymna liryka – to ja
mnie gładzili po szyi.
mnie chcieli objąć.
bierz mnie kochany, pisz mnie.
ja tobie wykładam się jambem,
spójrz, to przecież ja, twój najlepszy wiersz!
intymna liryka – to ja.
a ty jeden tego nie wiesz.

z języka ukraińskiego przełożyła Urszula Witwicka-Rutkowska

Nazar Fedorak - Urodził się 11 kwietnia 1974 roku. Docent w Katedrze Literatury Ukraińskiej Uniwersytetu Lwowskiego im. Iwana Franki. Autor monografii *Poetyka Hałyćko-Wołyńskoho litopysu* (Lwów, 2005). Poeta. Laureat międzynarodowych konkursów literackich „Hranosłów” i „Smołoskyp”. Autor siedmiu książek poetyckich: *Bruderszaft iz soboju* (Kijów 1997), *Krapki* (Kijów 1997), *Zemlane tiło* (Charków 2000), *Doswid powertannia* (Lwów 2001), *Siesta* (Charków 2003), *Sad bożestwennykh komach* (wybrane) (Iwano-

Frankowsk 2003), *Switowyj braslet* (Kijów 2008). Jego wiersze były tłumaczone na język angielski, niemiecki, polski, chorwacki i serbski.

Żadan pseudoliryczny antypoemat

1.

Zmierzcha się.
Na ulicy Myronosyckiej w Charkowie¹
odbywa się to pół godziny wcześniej
niż, powiedzmy, we Lwowie.
Taka geografia.
Więc kiedy galicyjskie dzieci jeszcze dospacerowują dzień,
na ulice Charkowa wyskakują psy.
Za nimi – właściciele.

2.

Teść Żadana ze swoim szczeniakiem²
zupełnie nie jest podobny do Jerzego ze smokiem³,
więc na podwórzu pojawia się ze strachem
i zauważając zięcia w towarzystwie grupy „Kalekcija”⁴,
w milczeniu idzie dalej.
Teściową Serhija zatrzymują w pracy
sprawy.
Wraca późno i słyszy, jak zięć
głośno skanduje w towarzystwie grupy „Kalekcija”
ogólnie znany leksem na cztery litery.
Robi się czerwona i idzie przygotować kolację dla minus jednego.
Nie interesują ją niuanse: że zięć
właśnie cytował –
i to nie Podika⁵,
tylko Mao Tse-tunga w oryginale.
Żona Switłana⁶, przyjechawszy z Kijowa,
zastaje na kanapie porozkładane zapasy
marihuany i wódki w ciałku⁷ swojego męża
i poprawia synowi⁸ pościel.

3.

Nazar Fedorak i Żadan poznali się w 90.
w Riwnem
na ogólnoukraińskiej olimpiadzie młodych filologów.
Debiutowali wierszami praktycznie jednocześnie –
w „Czetwerze” w 1993⁹.
Pierwszy odtąd tylko degraduje się,
dowodem na co w szczególności jest ten utwór,
drugi – przyćmiewa wszystkich na Ukrainie,

łącznie z Prezydentem¹⁰,
nad którego hotelem przelatują tylko najniebezpieczniejsze jaskółki¹¹.

4.

Lwowiacy (muzycy i literaci)
ochoczo chleją dobę w pociągu Użhorod – Charków,
żeby następnego dnia
dostarczyć zrusyfikowanej publiczności
pieśń ukraińską i słowo.
Muzyków, literatów i publiczność dobiera oczywiście Żadan¹².
Lwowiacy (muzycy i literaci)
zuchwale wychodzą na bruk
największego placu w Europie¹³,
zgrzytając zębami na Lenina¹⁴,
strzelając oczami na Derżprom¹⁵,

i nie umawiając się, rozglądają się, gdzie by tu popić.
Z pomocą przychodzi Żadan
w nakryciu głowy, jakie uznaliby za swoje
i Osama bin Laden, i Ehud Barak¹⁶.
Błogosławione sto gramów tłumi galicyjską grzeczność
i u lwowiaków (muzyków, podkreślam, i literatów)
pojawia się pragnienie, żeby przywalić
tym wszystkim charkowskim kacpom¹⁷.

5.

- Czekaście – mówi Żadan –
w tym mieście rozstał się ze światem Chwyłowy¹⁸,

stąd poprowadzono do więzienia i na rozstrzelanie
kwiat narodu ukraińskiego.

- Gwałtu! – mówi Żadan
(gwałtu – w dobrym znaczeniu okrzyku) –
czy nie wystarczy już tych ofiar?
Cały Charków oddycha z ulgą.

6.

Przed współczesnym procesem literackim –
jak przed śmiercią – schować się nie można.
Genderowe studia pani Zabużko¹⁹
dopadną was w genewskiej, waszyngtońskiej²⁰,

spotyka się z Żadanem przy plastikowych stolikach²¹
i trzyma w rękach miękką zabawkę
jasnojaskrawego koloru²².

8.

I szara jego twarz, łyzy jego – brunatne²³,
kobiety (te Gruzinki, kurwa²⁴) proszą go: Kochaj!
A on do swoich kwadratowych
charkowskich ciup
do przyjaciela Wałerija Bondara²⁵ powraca z walki.

9.

Tak mijają godziny i dni,
tak mijają lata i dekady.
Gdzie jesteście, poeci lat dziewięćdziesiątych?

Gdzie jesteście – poeci lat osiemdziesiątych (oprócz Herasymjuka²⁶)?
Wątpię postać jednego charkowskiego metaforysty
zastępuje wszystkich przed Bogiem ukraińskiej muzy –
takim sobie pomarańczowym słońcem²⁷.
Szanowni państwo, w nasz czas antologii i podsumowań,
minimalnego rozumu i Internetu
Serhij Żadan wyrusza w huculskie góry²⁸
zdobywać ostatnią twierdzę –
mentalność Małkowycza i Herasymjuka.

10.

Kto to taki Roman Skyba²⁹?
To pytanie całkiem niedawno było retoryczne.
Teraz na nie trzeba odpowiadać
i to za każdym razem – inaczej.
Chciał być laureatem Nobla,
dlatego spał w budce telefonicznej.
A Budda Żadana
w otoczeniu scytyjskich bab³⁰
z daleka, z wysoka widzi
Sztokholm, a w nim (z czasem)
brodskopodobnego³¹ nonkonformistę
we fraku z garderoby teatru „Arabesky”³²
i z przemówieniem noblowskim o strasznym słobożańskim akcencie³³.

11.

A jeszcze po drodze będzie Irpeń³⁴ –
tam, gdzie kiedyś chłał
gdzie krył wszystkie klacze jak koń,
i w piłkę nożną grał –
na spotkanie z młodymi
jako bogaty stary pierdoła³⁵.
I swojemu, powiedzmy, Dimie
powie jakaś poetessa wesoła:
*Wyobraź sobie, Dima,
widziałam dziś Żadana.*

PRZYPISY:

1. W czasie powstawania tego antypoematu właśnie na tej ulicy w Charkowie mieszkał Serhij Żadan.
2. Były też Żadana naprawdę ma psa (a przynajmniej miał, kiedy powstawał antypoemat).
3. Nawiązanie do wiersza Żadana *Święty Jerzy*, kończącego się słowami: *święty Jerzy wraca do jesiennej przestrzeni mieszkania / i kwili pod bramą wąż, / niby porzucony pies*.
4. Znana charkowska grupa rockowa, której muzycy są przyjaciółmi S. Żadana i wielu innych współczesnych literatów ukraińskich.
5. Podik – czuło-familiarne przezwisko Łesia Poderwjańskiego, znanego dramaturga radiowego – absurdysty i epatowacza, a jednocześnie zatwardziałego socrealisty. Stopniowo wchodzi on do literatury ukraińskiej co najmniej jak równy pośród równych sobie.
6. Była żona Żadana rzeczywiście ma na imię Switłana.
7. W czasie pisania antypoematu S. Żadan nie wyróżniał się atletyczną posturą. Wiktor Neborak na przykład w jednym ze swoich esejów nazwał nawet Żadana „rośliną”.
8. Chodzi o prawdziwego syna Żadana, Iwana.
9. Niewielki wymysł artystyczny. Autor i bohater antypoematu debiutowali w różnych miejscach. Iwan Łuczuk na przykład twierdzi, że debiut obu poetów miał miejsce w rubryce „Parnasland” niezapomnianej lwowskiej gazety „Ratusza”, jeszcze przed 1993 rokiem. Jednak faktem historycznym pozostaje to, że właśnie w czasopiśmie „Czter” w 1993 roku zostały zamieszczone jednocześnie utwory N. Fedoraka i S. Żadana.
10. Chodzi konkretnie o L. Kucznię.
11. Nawiązanie do wiersza S. Żadana *Ukraińskie linie lotnicze*, który zawiera takie wersy: *już jaskółki przelatują nad hotelem prezydenckim /... życie dopiero zaczyna się wojownikowi świat nie taki znów nędzny..*
12. Aluzja do praktykowanego przez Żadana organizowania różnych literacko-muzycznych festiwali w Charkowie.
13. Według charkowskiej legendy, właśnie to miasto szczyci się największym na świecie placem.
14. Niestety, właśnie na tym placu dosyć drażni oko pomnik znieawidzonego wodza światowego proletariatu.
15. Derżprom – jeden z największych architektonicznych zabytków Charkowa, gigantyczna szklana budowla, wzniesiona w stylu konstruktywizmu lat 20-30. XX wieku.
16. Co do samego nakrycia głowy, o które chodzi w tekście, opisać je praktycznie jest niemożliwe – to trzeba zobaczyć.
17. Aluzja do upokarzającej sytuacji języka ukraińskiego w Charkowie w czasie pisania antypoematu.
18. Chwyłowy (właśc. Fitiłjow) Mykoła – pisarz ukraiński, popełnił samobójstwo w Charkowie w 1933 roku.
19. Zabużko Oksana Stefaniwna – ukraińska poetka, eseistka, krytyczka literacka, naukowiec, nieprześcigniona w organizowaniu autorskich wieczorów literackich. Zajmuje się problemami genderowymi.
20. Genewa i Waszyngton – miejsca pracy i odpoczynku O. Zabużko.
21. Miejsce obok Lwowskiej Biblioteki Narodowej Akademii Nauk im. W. Stefanyka.
22. W rzeczywistości ta zabawka, istniejąca naprawdę, nie została kupiona.
23. Aluzja do wiersza S. Żadana *Zniszczenie Jerozolimy*, kończącego się takimi to słowami o rycerzu: *I po szarej jego twarzy / spływają brunatne łzy*.
24. Być może, członkinie byłej lwowskiej grupy „Czarny wrzesień”, a obecnie – grupy „Gorgiszeli”, Gruzinki z pochodzenia, ale również – nawiązanie do słów z wiersza S. Żadana *Ukraińskie linie lotnicze: no cóż – mówi prezydent – Gruzini kurwa...*
25. Walerij (Waler) Bondar – charkowski artysta grafik, przyjaciel Żadana.
26. Wasyl Herasymjuk, jak i wspomniany później Iwan Małkowycz – ukraińscy poeci debiutujący w latach osiemdziesiątych, z pochodzenia Huculi.
27. Nawiązanie do wiersza ukraińskiego poety, debiutującego w latach 60. – I. Dracza *Ballada o słończniku*, który kończy się słowami: *Poezjo, słońce moje pomarańczowe! Co chwila jakieś chłopczyko / Odkrywa ciebie dla siebie, / Żeby stać się na wieki słończnikiem*.
28. Aluzja do wyjazdu Żadana z byłą rodziną lwowskiego muzyka rockowego, M. Barbary, na wakacje na Huculszczyznę.
29. Lwowski, a w czasie pisania antypoematu, również i kijowski poeta Roman Skyba naprawdę był owładnięty marzeniem o otrzymaniu Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Jeden z najbardziej znanych wierszy Skyby zaczyna się słowami: *Mieszkam w budce telefonicznej...*
30. Nawiązanie do wiersza S. Żadana *Budda siedział na wysokiej mogile...*, w którym padają zwłaszcza takie słowa: *Dzielny Budda zatrzymywał ordyńców / Strasząc piekłem, obiecując karmę, / I z babami znów siedział pojedynczo, / Patrzył na step, / Jak na zagubioną mapę*.
31. Laureat Nagrody Nobla, J. Brodski jest jednym z ulubionych poetów Żadana.
32. Główna reżyserka i kierowniczka artystyczna charkowskiego teatru „Arabeski” – była żona Żadana, Switłana Oleszko, już raz była wspomniana w antypoemacie.
33. Charków, w którym mieszka S. Żadan, jest nieoficjalną stolicą terytorium ukraińskiego o etnograficznej nazwie Słobożanszczyzna.
34. Irpeń – miasto w rejonie Kijowa, gdzie w tzw. Domu Pracy Twórczej czasami w sposób zorganizowany, czasami i spontanicznie zbierają się na odpoczynek i do pracy pisarze ukraińscy.
35. Znowu nawiązanie do wiersza S. Żadana *Muzyka dla tłustych*, a również i do W. Neboraka, w którego utworach i języku

mówionym gdzieś spotyka się połączenie stary pierdoła, przeważnie w odniesieniu do bohatera lirycznego lub samego mówiącego.

Bohdan Ołeh Horobczuk - Ukraiński poeta, malarz i dziennikarz telewizyjny. Ma na koncie trzy tomiki poetyckie: *Misto w Mojemu Tili*, *Ja Zastudyw Serce i Nemaje Żodnoji Riznyci*, wydane w 2007 roku. Przygotowuje do druku tomik *Najiwni poeziji. Zamist' werlibriw*. Wielokrotnie publikował w różnych pismach literackich, gazetach, antologiach, almanachach, itp. Jest redaktorem lub współredaktorem kilku antologii, w tym antologii poetów debiutujących po 2000 roku – *Dwi tonny*. Jego wiersze były tłumaczone na język rosyjski, angielski, litewski, hiszpański i polski.

Niektóre Miejskie Pejzaże

wszystkie moje teksty
przebywają między snem a rzeczywistością

kiedy byłem jeszcze bardzo młodym poetą
kiedy miałem 15 lat
kiedy nie miałem jeszcze nawet pierwszego – dosyć nieudanego – ale drogiego jako pamiątka
– tomiku
zobaczyłem jak na ulicy zabiło psa
przejechała po nim ciężarówka
po czarnym małym psie
chudziutkim i wynędzniałym
tak że wszystkie jego wściekle czerwone wnętrzności wyleciały
tak że wyleciało jego agonalne skomlenie
takie przejmujące i szczerze
jak niektóre wiersze Lorki

dzieci – właściciele psa – stały na chodniku
i wołały i wołały: Szarik Szarik Szarik
dzieci to dzieci

samochody mijały go
on skowyczał
jeszcze długo skowyczał
kiedy go mijałem
skowyczał kilkaset metrów
a dwie noce później przyśniło mi się
jak na stadionie koło mojego domu *pocięto menela*
i jego brzuszysko było tak samo czerwone
jak psie
we śnie uwierzyłem w to co widziałem – dech mi zaparło i dusiło i ścisnęło

obudziłem się wstrząśnięty

ale tekst o tym napisałem dopiero jakieś 4 lata później
kiedy pamięć wybaczyła mi zniknięcie bólu

napisałem o menelu a nie o psie
nie o szybkich szczękach ciężarówki
tylko o *czystych jak niebo nożach żelaznych jak krew w smaku*

ale byłem uczciwy wobec siebie do końca
bo właśnie menel umierał w mojej głowie
lecz – rzeczywistością – psią śmiercią
właśnie on wypuszczał wnętrze na zewnątrz
i krew wypuszczał
i jęki i szepty i *ostatnie nieudane słowa*
wypuszczał na zewnątrz
właśnie on robił ten wewnętrzny striptiz
na który ja tak chciwie czekałem
i w takim skupieniu mijałem na tej żytomirskiej ulicy
mając swoje bezchmurne 15 lat

(tłum. Aneta Kamińska)

Dzieci Są Okrutne

dzieci jest za co nienawidzić
dzieci są okrutne
najczęściej – chłopcy
ale i niektóre dziewczynki są okrutne aż do wydartych kępek włosów
do rozdartych paznokciami twarzy
do przemyślnych oszczerstw intryg historii

byłem okrutny i teraz bywam czasami okrutny a więc – czasami jestem dzieckiem

grupowanie się dodaje dzieciom okrucieństwa
zaszczone samotniki najczęściej nie przeżywają
o tym pisano kręcono filmy a nawet kreskówki
o tym i ja już pisałem – okrutnie pisałem – między innymi
w starym dobrym tekście *Hermetyczne Podziemne Krajobrazy*

byłem okrutny i teraz bywam czasami okrutny a więc – czasami jestem dzieckiem

często piszę o dzieciństwie – to jest jakaś nadzwyczajna obsesja dla mnie
ze wszystkich sił staram się tam zostać czepiając się drobiazgów i wspomnień
za niteczki które nas wiążą – mnie i mój miniony stan
nawet i teraz bezładnie powtarzając jak mantrę i jak modlitwę
jak zaklęcie jak trajkot jak prawdę
jak refren jak przyśpiew
jak *kobiety z dużymi ustami jak milczysz i mówisz*

byłem okrutny i teraz bywam czasami okrutny a więc – czasami jestem dzieckiem

znowu i znowu
znowu i znowu

wiatr wynurza się ponad fale
łódka płynie jest puszką od konserw
obok wysp liściastych
obok gałązek i kamieni

(tłum. Aneta Kamińska)

Walt Disney Jednak Żywy (Zoran Ferić i Co Nieco z Zagadnień Wiary)

myślałem że to mi się naprawdę przyśniło
albo przynajmniej wymarzyło
ale śnimy albo zbiorowe sny
albo nie śnimy w ogóle – tylko naprawdę znajdujemy się we wszystkich sytuacjach i

wydarzeniach
i światło pod naszymi powiekami niczym nie różni się od Bożej Światłości

ale o wszystkim po kolei

czytając kolejną antologię do *lwowskiego forum sprzedawców* © Dnistrowyj
oto co odkryłem:

Zoran Ferić – *sensacyjny i nieco skandaliczny pisarz* – myśli tak samo jak ja

myśli

że

– Walt Disney nie umarł

– nie kojarzę roku jego śmierci – a zresztą jej nie było

że

– kriogenicznie go zamrożono jeszcze żywego żeby kiedyś w końcu rozmrozić
już po naszych licznych śmierciach eksplozjach naszych licznych ciał...

– *Ale on tak naprawdę nie umarł. Zamrożono go w wielkiej lodówce w której ciało zachowa się bez problemu...*

– te potwory go zamroziły te potwory samowolnie przestały ruszać się w nim szturmując jego ściany...

– *Podłączono go do specjalnej aparatury. Kiedy wynajdą leki zbudzą go prądem i*

– jest tylko Bóg Walt Disney jest jego niekończące się powtórne nadejście

to on zmusza nasze ciała w ciągu życia do rozrywania się od środka

to on podłącza je do niewiarygodnych napięć to on jest bólem i orgazmem to on jest krwią i sokiem z ałyczy

– *Ciało znajduje się w szpitalu publicznym okręgu Reading w Pensylwanii...*

i jeśli przypuścić że to wszystko to nie zbieg fantazji intuicji dwóch nostalgii za kreskówkami
i strachami potwornych zabawek

mózg nie jest w stanie wierzyć

a serce – odmawia uwierzenia że wszystko to są – fakty

że to jest informacja

bo w czasie kiedy informacja utraciła jakąkolwiek wartość i nie potrzebuje weryfikacji
kiedy nawet *Nietzsche oblizuje scukrzone palce u nóg Pana Boga*
wiekowe kreskówki funkcjonują według własnych reguł w głowie Disneya
transmitując się przez siebie tylko znane kanały do każdej-każdziuteńkiej głowy
i wywołując jednakowe sny marzenia odjazdu i nawet jednakową dla wszystkich
rzeczywistość

z języka ukraińskiego przełożyła Aneta Kamińska

Ostap Sływyskiy - Poeta, tłumacz, krytyk literacki. Studiował bułgarystykę na Uniwersytecie Lwowskim, na którym obecnie pracuje. Autor tomu wierszy *Ofiarowanie wielkiej ryby* (1998). Inicjator i uczestnik projektów artystycznych (*Powolne zwierciadło*, *Cztery strony światła*). Laureat nagrody im. Antonycza (1997). Tłumaczył m.in. Różewicza, Podsiadłę, Świetlickiego. Jako stypendysta Ministra Kultury RP spędził w 2003 roku sześć miesięcy w Polsce podobnie jak Bondar i wspólnie z nim przygotowuje antologię współczesnej poezji polskiej. Mieszka we Lwowie.

Jeszcze jedna makabryczna piosenka.

Każesz mówić i uśmiechać w
szeroko otwarte okno, stojąc po pas w zatopionej bramie?
Masz na myśli nasze dziecięce wyobrażenia o śmierci? Na przykład
coś jak brunatne serce namalowane trochę niżej na skórze?
Mocne miejsce: tu pochowali braci pijaków, wiem tu pływa ich ubranie.
Nie przypominam sobie imion, chociaż kiedyś piliśmy we trzech w dusznym furgonie.
A teraz mają cichą kuchnię parową, firma „Mleczni bracia”.
Jeśli chcesz kopać głębiej, mogę cię tam zaprowadzić.

(tłum. Urszula Witwicka-Rutkowska)

Zimny dotyk wody

Oto zagadka, której nie mogę rozwiązać,
maleńka, niczym pchle oko.
Ktoś wspomniał o mnie podczas czyjejs nieobecności.
Dwie żerdzie wbite przez kogoś przy samej wodzie,
zagoszparowane przez świetliki, niczym brama dla zabawkowych hydroplanów. Ktoś
naprędce
rozbierał się na pasie piasku, wbiegał do
jeszcze żywej z dnia wody, wracał uśmiechnięty
i nieprzewidywalny, jak kontynentalna pogoda.
Dźwięczą klucze, wygrane w krótkiej strzelaninie
z kimś z górnego pietra, gdzie białe ręczniki.
Ktoś jako pierwszy pobiegł w dobrym kierunku,
kiedy zapadnie noc, usłyszysz głosy ze stacji, usłyszysz świst pary.
Pobiegł wymachując podziurawionymi rękoma, jak pijany
rybak z haczykiem wbitym w dłoń, z chwiejącą się
wędką, która wskaże drogę cieniom.

(tłum. Urszula Witwicka-Rutkowska)

V.2002, Warszawa

Zgubiłem telefon, klucze, adres domu, gdzie miałem spędzić
dwie następne noce, głowa ciężka, jak wiązanka
namokłych liści, wszystkie latarnie świecą pokornie i
zbliża się ściana deszczu z podwójnie oświetlonej części parku,
rodzice zdejmują dzieci z kolorowych plastikowych górek
i naciągają im kaptury, świat rozcięty na pół,

Po tej stronie - jeszcze sucho i pośpiech, a tam - inny świat, cień
Światło uderza, niczym waciany dzwon, w którym mnie nie ma
Nucę obracając się za dźwiękiem starając się rozróżnić
Skąd przychodzi ktoś, demon wahania, gra mokra surma
Ty masz wyrwane dno, mówi on za plecami, ciebie nie można zabić

* *

Myślałem, samą miłość można
przesłać na tę stronę, milczącą, niczym chleb
z zapieczonym w nim kluczem?
Tak nie bywa, wielkie ciało! Dopóki milczysz jesteś kłownem
pełnym nietutejszego ubrania. Szmaciane usta pasują do mikrofonu
znalezonego w piasku, dlatego mów. Światło, kiedyś niczyje będzie
szybko zapisywać.
Kocham cię, cięciwo, liano, kocham, senna zatoko -
każde słowo, niczym mięsień sercowy, co sekundę
zasłania wejście do pieczary.
Otwieram okno i zapada cisza.
dzieci na stadionie w dole jakby umyte powolnym biegiem -
ostatnia lekcja ostatniego dnia tygodnia,
a potem - droga do domu i wielka reszta życia

(tłum. Urszula Witwicka-Rutkowska)

Iwan Łuczuk - ukraiński poeta. Pracownik naukowy Lwowskiego Oddziału Instytutu Literatury im. T. Szewczenki Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, wykładowca języka scs na Ukraińskim Uniwersytecie Katolickim. Współzałożyciel i członek grup literackich: ?ŁuHoSad? (Łuczuk, Honczar, Sadłowski), ?Heraklit? (Holinni Entuzjasty Raka Literalnoho), PUP (Planetaryny Urząd Palindromii). Autor tomików poetyckich: ?Rytm polusiw? (1996), ?Sonetiji? (1996), ?Palindromony? (1997), ?Trydciat? try sonetiji? (1998), ?Sto odne szczos?? (2002), ?Trochy biłoho switu? (2005). Felietonista ?Lwiws?koji Hazety?.

Matematyczna lingwistyka

Plusy:

ładna, dobra, piękna, wdzięczna, urodziwa, przepiękna,
powabna, cudowna, rozkoszna, czarująca, filigranowa, śliczna,
zgrabna, subtelna, elegancka, zręczna, zwinna, delikatna,
fajna, wrażliwa, kształtna, niezrównana, wspaniała, przedobra,
gładka, uprzejma, robotna, cnotliwa, energiczna, aktywna,
czuła, miła, rozważna, mądra, pojętna, dowcipna.

Minusy:

zła, drobiazgowa, niedobra, złośliwa, ohydna, paskudna,
nijaka, wstrętna, nikczemna, szkaradna, głupia, obrzydła,
podła, podstępna, bezczelna, nawiedzona, potworna, okropna,
ospała, straszna, straszliwa, makabryczna, gadatliwa, krzykliwa,
dzika, brzydka, niechlujna, zarozumiała, pyszna, nadęta,
opieszala, obłudna, kłamliwa, bezwstydną, tępa, niezdarna,
skryta, fałszywa, obrzydliwa, niezgrabna, nieszczerą, bezduszną,
a mimo to zob. plusy

(tłum. Aneta Kamińska)

Drżysz

Drżysz jak biały fortepian,
od klawiszy tylko co
oderwały się palce
i dźwięk jeszcze nie znikł,
tylko drży białym swetrem
z czerwoną nitką,
drży i znika,
i przechodzi we mnie
i drży moim szarym swetrem.
Dotykam palcami klawiszy,
drżenie
po niteczce swetry na nas spruło,
namotało w kłębki
i potoczyło w kącik.
Czuję, jak coś w środku
po niteczce pruje się.

(tłum. Aneta Kamińska)

Co nieco o ja

dawnym i nowoczesnym cudzym i własnym

Ja ptak siedmiooki,
do tego ja dozorca: siedem-osiem listków
zmiotłem,
ja trawa, ja niebo, ja ręka, ja noga,
ja guzik, ja płyta gazowa,
ja wycieczka do zamku w Olesku,
ja przymknięte oko,
ja siedzę na tarasie i
ja mlaskam przy jedzeniu.
Ja porządny, ja wyprasowałem spodnie,
ja zapomniałem, że ja miałem przyjść gdzieś tam na siódmą,
ale ja wybrudziłem sweter
i ja nigdy nie noszę zegarka.
Ja pierwszy, ja ostatni, ja nijaki.
Ja wreszcie znalazłem nieskasowany

bilet na tramwaj, bo bez niego
ja nijak nie mogłem wyjść z domu.
Trzeba zajrzeć do encyklopedii ?
co to takiego *ja*, lecz tam pod bukwą *ja* ni-
czego nie ma.
Ale czort z nimi ? z tymi *ja*
i pewnie czort ze mną.
Ja ? jaja (najprędzej ? od strusia).

(tłum. Aneta Kamińska)

Historia fiaska

fiołki (1 bukiecik) ? 50 kop.
narcyzy (10 szt.) ? 1 krb.
narcyzy (7 szt.) ? 70 kop.
jeden narcyz ? 10 kop.
tulipany (3 szt.) ? 1 krb.
cukierek ?Wiewiórka? (1 szt.) ? 10 kop.
żonkil (1 szt.) ? 30 kop.
bilet trolejbusowy (1 szt.) ? 4 kop.
3 krb. 74 kop.

(tłum. Aneta Kamińska)

Zasnąłem jak wryty

a tam przyśniło się:
od komicznego
do kosmicznego ?
jedna litera.

(tłum. Aneta Kamińska)

Serhij Żadan - Poeta, prozaik, performer, reżyser. Autor kilku tomów wierszy: „Cytatnyk”(1995), „Heneral Juda”(1995), „Pepsi” (1998), „the very very best poems, psychedelic stories of fighting and other bullshit”(wiersze wybrane 1992-2000), „Ballady pro wijnu i widbudowu”(2001), „Historia kultury początku stulecia”(2003, wyd. polskie 2004), „Cytatnyk” (2005), tomu prozy "Big Mac" (2003), powieści: "Depeche Mode" (2004), "Anarchy in Ukr" (2005; wyd. polskie 2007) i "Hymn demokratycznej młodzieży" (2005; wyd. polskie 2007), oraz zbioru utworów „Big Mac2” (2006), „Kapitał” (2006) Stworzył oryginalny styl w poezji - udało mu się połączyć tradycję ukraińskiej poezji (szczególnie futuryzmu) i elementy kultury punk z symboliczną przestrzenią industrialną miejskiego krajobrazu. Jest laureatem wielu nagród m.in. Bu-Ba-Bu za najlepszy wiersz roku 1998. Mieszka w Charkowie.

Radio chanson (Osiem historii o Jurim Zojferze)

„Szulerzy siedzą na zapleczu i sumiennie dzielą utarg”

Teraz, teraz, oni się tylko nastroją,
podłączą swoje kręgosłupy do czarnego radia babilon,
ostatnia próba zrobienia porządku w całym
tym żelastwie, które przewożą z miasta do miasta.
W kartonowych pudełkach z supermarketów czekają cierpliwie psy alkoholu
i nawet nie słyszą jak dławi się najsympatyczniejsza morfinistka w barze.

My uważnie słuchamy radia,
i odruchowo przekazujemy jeden drugiemu papierosa,
teraz, teraz, mówimy,
teraz oni wywarzą drzwi wszystkich typografii
i zasypie literami noclegownie i wysypiska
na których co noc sadzimy
dziki tytoń i tulipany.

Pomóż jej, kiedy poprosi cię
o przeliczenie sznyt na swoich rękach,
życie jest jak wariant ulicznej bójki,
oni podwieszają radio babilon do naszego księżycyca,
i przynoszą ci poranną prasę,
niby świeże ręczniki do pokoju hotelowego.

Pomóż jej potem uporać się z jej ubraniem,
cała ta histeria porannych wiadomości –
co może cię interesować prócz pocztówek i programów kinowych,
po tym jak przeszedłeś zresztą przez wszystkie granice,
przyzwyczajając się do nowego języka, niby do nowej skóry,
zapiszesz potem adres na partyjnej prasie.

Kraj gwałtownie traci swoją twarz.

Powiedz to dziś, dlatego, że jutro przyjdzie ci krzyczeć.
Oni myślą, że nasza apokalipsa zmusi serce do szukania innego miejsca na tarło,
moja apokalipsa, owinięty w folię i schowany pod wkładką w bucie,
czarnowłosa ochotnik
ulicznej korespondencji
szepcze mi do ucha
miłosne historie,
opowiada głupoty
o mieszkańcach tego miasta,
przekazuje wszystkie nazwy i adresy barów,
gdzie kasa jest otwarta całą noc i
szulerzy pięściami wybijają z radia ciszę i szum.

A on szepcze – byłem pewien, rozumiesz - byłem pewien,
przecież nie pierwszy raz tam byłem, ja zawsze czuję kartę,
ale mnie przebili, wiesz, tam po prostu było ciemno,
i byłem pijany, ja w ogóle ciągle jestem pijany, u mnie to jest jak cecha charakteru.

Ale ten karciarz, on mnie rozszyfrował, on mnie po prostu zniszczył,
on nawet na mnie nie patrzył, cały czas odwracał twarz od światła
i nagle przestraszyłem się, te cienie, rozumiesz, które
spływały coraz niżej, niczym krew po ścianach, właśnie ta panika mnie wydała.

Rozumiesz, on ciągle palił, on mnie po prostu męczył
tym swoim popiołem, on po prostu zawrócił mi głowę
swoim dymem, kurwa, kiedy siedzisz, wstrzymując
w sobie ten dym, a on wciera ci jakąś połówę

dotyka, niby niechcący, swoimi palcami twoich niedopałków,
kiedy ty też zaczynasz palić, i patrzysz na jego palce,
i one u niego są ciepłe i chrzęszczące, koloru kanadyjskich dolarów,
albo, w gorszym wypadku – amerykańskich.

I kiedy rozpoczęła się obława i go wyprowadzili
i zaczęli wykładać na stół jego osobiste rozmaitości
wszystko co znaleźli, co wreszcie wyłożyli,
tylko dodawało temu wszystkiemu jakiejś wielkości –

jego fifki i jego wytrychy,
wszystkie lęki i jego nawyki,
herby kraju, który nie istnieje
fałszywe recepty, bilety na warszawskie koleje,
chustki i mankiety popisane kredą,
cygaretkę za cygaretką,
patent na śmierć, akt własności na budynek publiczny,
wygrany od kogoś zegarek mechaniczny
który zatrzymuje się i dalej nie rusza
jak jego dusza.

„Licząc prostytutki co piątek w parku rozrywki”

Z pomiędzy wszystkich głosów zapamiętujesz ten, który chcesz zapomnieć,
spleciony z trawą włosami i liśćmi na brzegach kanałów,
je dobrze słyhać na mostach, kiedy woda opada pozostawiając wyłowione buty topielców.
To jest historia o tym, jak ty trafiasz do obcego miasta i
zaczynasz słuchać głosów, jakie padają w nocy na klatkach schodowych, stłumiona
wielogłosowość pracowników piekarni i redakcji gazet, to
są historie, które oni opowiadają o swoich przyjaciółkach,
tajemnice, jakimi się dzielą -

o te, kurwy z najwyższych pięter i najciemniejszych korytarzy,
które wrywają ci język, kiedy całują
razem z całym twoim hałasem,

żebyście tylko wiedzieli co ona robi kiedy od niej idziecie,
ona wkłada ubranie tak, jak wkładają je na nieboszczyka,
ona omotuje sobie gardło szalikami,

tak jak omotują bukiety w zimie,
tak jak okręcają żółte krany, aby nie krwawiły,

ona

zmienia wino w cykutę i cukier w metadon,
kładzie klientowi srebrne monety na oczy, kiedy ten zasypia,
chowa mu do kieszeni lilie wodne i klucze do swojego mieszkania,
chowa trupy do bagażnika i smoki, niczym bażanty
wyskakują spod kół taksówki w pustym parku,

nigdy nie opowiesz o tym co chowa w dłoni,
zjawia się na przedmieściach, kurwa, stoi niedaleko od kościoła,
obserwowałem ją, jak obserwuje się bokserów na jednego z których
postawiłeś, ale nie możesz sobie przypomnieć - na którego właściwie,
opowiedz mi o niej,
dawaj, opowiedz, tyleż razy umierałeś po tym jak znikła,
że mógłbyś przyzwycząć się do tego wszystkiego.

Tak, niby słyszysz jak sprzątający śmieci w parku rozrywki wychodzą rano
z furgonetek i zaczynają zbierać do plastikowych worków parasole i peruki, wdeptane w
cukrową watę i topolowy puch.

Głosy, które słyszymy, albo które nam się wydają takimi,
że je słyszymy, rozpoznawane są po dużej ilości w nich kobiecych imion,

kiedy stoję pośrodku parku rozrywki i patrzę na śmiertelne
maszyny huśtawek,
przebieram w kieszeniach wykałaczki, które wbiję
z czasem w słodkie zlepki tegorocznego urodzaju.

To historia o tym, jak wszyscy razem śmiejemy się ze śmierci,
na kilka dni przed tym, jak zabija nas kometami,
uniknąwszy zniszczenia, i nie rozumiejąc jeszcze,
że zniszczenie to trwały proces,
który nie potrzebuje zupełnie twojego bezpośredniego udziału.

Twoje gardło, siostrzyczko - to blaszanka z igłami,
które przesypują się tam, kiedy pijesz zimną wodę
sznurki i żdźbła, którymi je dławisz
i wilgotne farby, którymi je farbujesz, skąd bierzesz
te wszystkie rzeczy, na jakich wyprzedażach znajdujesz
instrumenty którymi można pozbawić siebie głosu.

Twoje serce - to lalka opleciona rękami, które cię kochają
jej krew - ciemno zielona, niczym nie napoczęta herbata
z ptasimi piórami i cekinowymi wizerunkami, ta twoja lalka,
którą chowasz w wewnętrznej kieszeni, tam gdzie powinna się znajdować
przez całe twoje życie.

Twoje przyjaciółki, które wkładają cię co noc w łóżko, nakrywają cię

cygańskimi chustkami i kołdrami, wkładając ci do rąk wielkie krzyże przywiezione z Egiptu,
podśpiewując do widzenia siostrzyczko, nie śpiesz się
z powrotem, woda z kanałów obmyje cały twój niepokój, wenerolog
wyleczy wszystkie twoje stygmaty, będziesz mieć przy sobie tylko ozdoby na szyi,
spróbujesz się porozumieć jeśli znajdziesz współrozmówców

czytając ci książki z publicznej biblioteki, dawne przekazy o
najpiękniejszym z miast, o najdłuższej z podróży o tym, że

skóra staje się szczególnie wrażliwa z niewyspania,
i głos staje się szczególnie głęboki z niedojadania,
kiedy ty nareszcie przestaniesz mówić,
kiedy ciebie nareszcie zaczną słuchać.

„Podziemny warsztat zamachowców”

Pomiędzy twoją złością i twoim zmęczeniem,
jak pomiędzy fałdami roboczych kurtek
on szuka miejsca na słoneczny pył,
który wysypie się na naszą dzielnicę.

Jego przyjaciele, którzy zarabiają na życie
tym, że pokazują sztuczki karciane
na plażach Dunaju,
rozmawiają z nim o rewolucji,
siedząc naprzeciwko giełdy,
obok sportowych afiszy,
wyciągając z powietrza
butelki z winem.

Ale za każdym razem,
kiedy on przychodzi
i pyta o nią
ona ulatnia się z ich rozmów
jak tytoń z włosów,
nie znajdując jej, myśli - że
jakich bym tylko głupot nie narobił,
abyś za nie odpowiadała sama.

Najciekawsze w naszych rozmowach
pomiędzy milczeniem
rozrzuconym po hipodromach
są te wszystkie jęki kobiet w bramach
wysokich, niczym głosy śpiewaków operowych
właśnie pomiędzy milczeniem, bo po nim
przychodzą zamachowcy w czarnych roboczych kurtkach

i twoja psychika zostaje rozbita
niczym maszyna do pisania

i choroby wypuszczone jak latawce
i serce, ze wszystkimi jego zastawkami i oddziałami –
bomba, zrobiona w podziemnym warsztacie;
przyjdzie czas, kiedy
znajdziesz się w sytuacji,
samemu chronić własne życie,
i dopóki walczysz,
niczym młody, uliczny wojownik,
zadając cierpienie
wszystkim uczestnikom walki,
nikt nie pomyśli,
że jesteś zawsze obok,
od samego początku i do końca.

Zawsze masz możliwość nie akceptowania ich warunków
zawsze masz możliwość uniknięcia odpowiedzialności
nikt nie może ci zabronić grać według własnych reguł,
jedyne, na co ci nie pozwolą – to zupełnie nie brać udziału w grze.

Pomiędzy tym, co mówisz
i tym, jak ciebie rozumieją,
znajduje się cała poezja,
szukać zaczynają właśnie w tych
krótkich napadach niezrozumienia –
nikt nie rozumie tego co mówisz,
nikt nie rozumie i właśnie dlatego mówisz,
i język – to tylko sposób by wszystko skomplikować.
Dzieci szatana – osoby układające słowniki
podsypują truciznę do naszego alkoholu.

I kiedy ona pojawia się niczym podejrzenie
pomiędzy stolikami
studenckich stołówek,
witają się z nią
osiemnastoletni aktywiści z marksistowskich grup
i rumuńscy muzycyści uśmiechają się
i chowają rewolwery
i jabłka do głębokich kieszeni.

A, mówi, wy wszyscy jeszcze tu,
wam nic się nie stało,
wy, jak przedtem
prześladujecie słońce
wchodząc na radiowe wieże
i wyganiacie je za miasto
i strącacie z nieba kamieniami
zebranyimi na nabrzeżu.
I kiedy oni wszyscy
wychodzą po kolei
w lipcowe piekło,

pozostawiając po sobie opakowania
po lekach
i pozostawiając szept pośrodku piekła –

zabili go po prostu obok jej bramy,
w nocy, kiedy wyszedł po prezerwatywy
przymknęli ją za pomocą śladów
zębów odbitych na jego skórze;

życie - to bokser,
który kocha swoją pracę,
niczego osobistego
i niczego zbędnego,

najciekawsze pytania
mogą zadać tylko ci, którzy żyją
ale
najciekawsze odpowiedzi
można usłyszeć tylko od zmarłych.

„Powiedz potworom do widzenia”

Jura Zojfer, który urodził się we własnej fabryce
i nauczył języków obcych od tresowanych papug w ojcowskiej kancelarii,
wspominał z czasem, że jedyne, czego
nauczył się w dzieciństwie – to podróże, kiedy
przychodzi ci spać w ubraniu, tygodniami mieszkając
w kolejnym porcie,

zajmując razem ze szczurami i cyrkowymi małpami
najlepsze miejsce w ładowniach,
wyławiał w biegu rybę z czarnej wody, rozmawiał z potworami,
które wylatywały ze snów pasażerów trzeciej klasy.

Jura Zojfer mówił:
ryby w wodzie – są jak metafory w języku.
Z czasem, przyjaźniąc się z najniebezpieczniejszymi
przedstawicielami społeczeństwa, i wymieniając
marksistowskie pocztówki na kolorowe kamienie i ołowianych żołnierzy,
często siedział w jadłodajniach dla bezdomnych,
ukrywał się w noclegowniach,
organizowanych przez czerwony krzyż,

wyprowadzał na place zwierzęta cyrkowe
i przeprowadzał swoją agitację.
Zapamiętajcie te dni, mówił publice,
zbierając od nich monety, zapamiętajcie –
cyrk, rewolucja i kabaret
ocalą nasze miasta
przed apokalipsą.

Pewnego razu, niedługo przed aresztowaniem, zasypiając
na pustych workach po korespondencji i
owijając gardła swoich przeziębionych zwierząt
starymi gazetami, zobaczył taką rzecz –

niby stoi przed szeroko otwartymi drzwiami poczekalni, na
jakimś dworcu, w tłumie obcych mu ludzi, i nie może wyjść na zewnątrz,
światło słoneczne oślepia ich wszystkich i oni potracając się, nie mając siły wyjść
wszyscy ci

klauni i terroryści z papierowymi bombami, samobójcy ze wszystkimi swoimi
chorobami, aktorki z pornofilmów, weterani z przytułków, bandy serbów,
delegacje Turków, drużyny najemników, grupy bojowników, pracownicy
kolejowych stacji, pasażerowie, którzy wypadli na zewnątrz przez otwarte wagony, którzy
ciągnęli na
sobie zepsute maszyny do pisania i paterfony, kartonowych klaunów, papierowe
rulony, resztki rozbitego rekwizytu, które byli zmuszeni wozić wszędzie na
własnych garbach, niby skrzynie z darami, starając się przedrzeć otwartymi
bramami.

Wtedy obudzony się napisał –

to są moje sny, które sobie co rano przypominam,
to jest moje radio, wypełnione propagandą
i im ona jest dostępniejsza i głośniejsza
tym straszniejsza będzie cisza.

„Psy miejskiej infrastruktury”

No i, powie ona, wszystko toczy się tak jak musi się toczyć
teraz zaczyna się zima.

Ten, kto zna drogi na skróty przez labirynt
będzie w stanie kiedyś powrócić
i zacząć wszystko od początku.

Żebracy, jak zwierzęta, pierwsi czują chłód.
Podlotki, które umierają na ulicach, zawijając się w flagi,
krew w płucach twardnieje i osypuje się na samo dno
ich oddechu.

Teraz już na pewno nie powiesz – mamy czas.
Czasu nie ma, i nie ma możliwości obrony.
Czarne psy obwąchują puste butelki,
które wynosisz na tylne podwórze.

W przeddzień zimy każdy chce uchylić się od uderzenia,
Mordercy przychodzą pod ściany więzień i proszą się

do napełnionych dymem pomieszczeń,
zmije skaczą na dno rzek, ciężkich
jak węgierskie monety.

Kobiety w pustych z rana budynkach robotniczych
nabierają pełne wanny gorącej wody i chowają się w nich
przed zimnem.

Ochroń mnie, mówi jedna do drugiej, nie mamy czasu
aby coś zmienić,
tylko te wanny z wodą, stygną na samym dnie naszego oddechu,
nikt nie obroni otwartych miast
i psy ulicznej infrastruktury strzegą przejść w fabrykach,
których bramy są dla nas zamknięte na wieki.

Wygnańcy, chowamy się w obcych mieszkaniach, zanurzając w ciepłej wodzie,
nikt nie ochroni nas przed tą zimą ,
naszym przeznaczeniem jest umierać nie wiedząc nic o innych możliwościach,
to jest jak znaki na naszej skórze – my pierwsi trafimy do czarnych jam zapomnienia.

Oni wypęłzają z czar i piwnic, wychodzą z mroku
nieistnienia, przedzierając się przez przeżute mięso samotności,
wciskając się w ściany, trzymając się północnej strony powietrza, wychodzą,
wynosząc najpotrzebniejsze - kamienie, które przenoszą w teczkach i w
papierowych pudełkach, ściskając mocno, odbijając się nimi od psów, nie ma
czasu, tylko ta dziwna procesja naszych wspólnych znajomych, która nocą porusza się
ulicami, jakie ochładzają się, pustymi placami, w bok od rzeczno dworca,
żeby tam załadować się na statki, w jakich przewożono tysiące topielców, te
opustoszałe statki, które stoją w porcie i tylko czekają na nasze procesje, każdego roku,
właśnie w przeddzień zimy, odpływają i poruszają się z nurtem,
gubiąc się w rzecznej mgle, dopóki je widać, choć, podziękujemy wszystkim
inżynierom, którzy budują metalowe mosty przez nasze rzeki, wszystkim przeklętym
mieszkańcom karcerów, podziękujemy ulicznym żebrakom, którzy pozostają na
skrzyżowaniach, owińmy się w flagi, niczym oficerowie rozbitej armii, nikt nie
zmuszał nas abyśmy szli w ten ogień, nikt nie zmuszał nas żebyśmy odchodzili z
naszych dzielnic, śmierć ma swoje strefy wpływów, statki odpływają,
zaczyna padać deszcz, uderza o mokry piasek, taki dźwięk, niby rowery
setek tysięcy chińskich robotnic jadących do fabryk.

przełożyła Urszula Witwicka-Rutkowska

Poezja

Dezertery

Zacznę od tego od czego miałem zacząć –
od dedykacji dla tych, którzy się nie doczekali
na lepsze czasy, czasy, kiedy

wszyscy odpuszczą i można będzie wreszcie odetchnąć.

Ale martwi nie odetchną,

aha, dokładnie nie odetchną.

No, tak dobrze wszystko się zaczynało, tak

marzyło się, że o, jeszcze

parę zim,

parę depresji,

parę wyrzniętych serc,

najważniejsze dociągnąć do trzydziestki,

a tam już prościej się oddycha,

prościej prowadzi się obliczenia.

Najważniejsze dbać o przyjaciół, pamiętać

wszystkie pijane obietnice,

dawane ze łzami i śpiewami –

że o, mówiąc, dociągniemy, przedrzemy się,

postawimy to życie w poprzek.

No i co – oto ono, życie.

Stoi w poprzek.

Żadnego pragnienia.

Przyjaciele rozsypali się,

jak pierwsze radzieckie czołgi,

i smutne to były śmierci,

wrogowi nie życzę

takiej śmierci,

tym bardziej, że wrogowie też

się rozsypali,

niczym czołgi.

I oto dziś

kiedy wieczorem wiatr przynosi ulewę,

nie ma nawet do kogo zadzwonić,

pozostała z dziesiątka przyjaciół,

ale co –

moi przyjaciele piją,

piją teraz na umór,

mam wrażenie, że

przyjaźnię się z jakąś

narkologiczną

poradnią.

Pozostają ich dzieci,

jeszcze ich dzieci. Teraz do nich, oczywiście,

dzwonić też nie ma sensu,

ale, do diabła z nimi – minie

jakiś czas i oni wyjdą na ulice

i pomszczą swoich

rodziców.

A tam, popatrz i oni powrócą –

wszyscy dezenterzy, upaleni cyrkowcy,

kolesie w mundurach francuskich korpusów ochotniczych,

które patrolowały drogi

podczas bałkańskiego konfliktu,
powrócą chemicy i astronomowie,
którzy wypalali niebiosa nad Dunajem,
wszyscy czarni geniusze giełdowi, zawiedzione dusze,
wszyscy emigranci, którzy pustoszyli składy bundeswery
w jesiennych polach,
cały ten nieskończony tłum, zagubiony w czasie,
tabor, który przechowywał się
od jednej obławy
do kolejnej.
I kiedy oni wreszcie wydostana się
na suchy ląd,
o kiedy się wydostaną,
wtedy nie zazdroszczę
inżynierom,
którzy walczą o nasze dusze.
Najważniejsze, żeby nam wszystkim wystarczyło miłości.
Najważniejsze, żeby wszystkim wystarczyło żółci.

Przeganie Słowianki

Ilu przyszło nam widzieć downów,
ale takich nawet nie widziałem –
jeden w koszulce Zwonimira Bobana,
inny – w koszulce Bobana Markowicza,
taka sobie reprezentacja Jugosławii z klaunady.
Aha i oto wsiadają do wagonu i od razu
wyjmują karty i zaczynają grać na pieniądze.
A pieniędzy ani u jednego ani u drugiego nie było.
Ale do diabła – myśli Zwonimir Boban – zaraz
rozłożę tego klauna – myśli
o Bobanie Markowyczu – zaraz
wyciągnę
z niego
całe gównno.
I Zwonimir Boban mówi do Bobana Markowycza – bracie
braciszku, najważniejsze dla nas, aby nie wysadzili nas do Wiednia, bo już w Wiedniu
wszystko będzie do naszych usług i szengen wpadnie nam w ręce,
niczym dojrzała gruszka. prostytutki, bracie, czyścić będą
nam trampki
swoimi warkoczami.
Wjedziemy od strony Bratysławy, na osiołkach,
jak dóch Jezusów,
ty i ja, bracie
ty i ja.
Aha – odpowiada Zwonimir Boban do Bobana
Markowycza – a jakże: jak dwóch Jezusów,
wyciśniemy z tego miasta całe gównno, przechwycimy od tych jebanych
Ukraińców rynek kradzionych telefonów komórkowych.
Tylko sobie wyobraź braciszku ile jest w

świecie zagadek i tajemnic, ile burdeli
i kradzionych telefonów:
Nie wystarczy nam życie, aby objechać nasze włości
na osiołkach.
A ten mu odpowiada: wystarczy, braciszku, wystarczy,
życie rozciąga się niczym akordeon, ja będę
ciągnął je w jedną stronę
Aaty – w drugą.
I oto oni jadą, wrzuciwszy
na górę czarną walizkę,
w której leży, złożona na pół, ich
wielka słowiańska idea.
I ta ich wielka słowiańska idea –
akrobatka z genewskiego cyrku,
dziewczyna, którą oni złożyli na pół i zapakowali do walizki,
od czasu do czasu
wyciągając ją na zewnątrz
i dzieląc się z nią chlebem i rakiją.

Najważniejsze – dowieść słowiańska idee do Wiednia,
wjechać do miasta
na czele kolumny samochodów z pielgrzymami.
W świecie jest tyle niewinnych dusz,
tylu nieujarzmionych protestantów
i nie kradzionych telefonów,
że tylko zdążają rozciągnąć to życie.
No i co, dalej zaczynają śpiewać,
oczywiście – bałkańskie pieśni,
takie nieskończone, co ich nawet nie przełożysz własnymi słowami,
Ale mniej więcej takie:
Kiedy słońce staje nad Bałkanami
i pierwszym swoim promieniem dotyka fal Dunaju,
one – fale Dunaju –zaczynają błyszczeć,
jakby na dni leżały złote robaki
i wtedy dzielni żołnierze serbskiej gwardii
skaczą do Dunaju, razem ze swoimi strzelbami,
fale Dunaju wloką ich piaszczystym
dnem w kierunku morza,
i od ich ciemnych-ciemnych mundurów
morze nazywa się Czarne.

Święto, które zawsze jest z tobą

Zdążyliśmy już o nim zapomnieć,
i tu nagle on umarł.
Krewni postanowili zawiadomić kolegów.
Zawiadomili nas.

A my, no cóż my, jak zazwyczaj
zachowujemy się na pogrzebach?

Ktoś z nas zdziwił się, że on umarł.
Ktoś zdziwił się, że on umarł dopiero teraz.
W dzieciństwie czytaliśmy jego książki,
może dlatego wyrosliśmy na takich złych.

Na pogrzebie wszyscy rozmawiali o literaturze
i czytali swoje wiersze.
Ktoś pobiegł po szampana dla kobiet.
Ktoś starał się przystawiać do wdowy
i pytał czy ma chłopaka.
Ktoś pobił młodego poetę,
który pisał patriotyczne sonety.

Ten leżał na podłodze
zalany szampanem i łzami wdowy,
a nad nim ze złością zwisali koledzy po fachu
i wymagali, aby podniósł się i kontynuował
bójkę, ponieważ leżących
nie biją.

A obok niego leżały podeptane
arkusze z sonetami
i zgubiona przez najstarszego z poetów
sztuczna szczeka, którą zgubił
wymagając, aby młody podniósł się
i kontynuował bójkę.

I zanim wdowa zdążyła zwołać
naradę, oni tłukli zastawę i maszynę
do pisania zmarłego,
czytając wiersze,
i rozmawiając o literaturze.

Poezja - ostatni bastion dla niepokornych,
godna odsiecz społecznemu zwtpieniu.
Poeci trzymają się razem, niczym marynarze okrętu.
I kiedy okręt beznadziejnie idzie na dno,
poeci wystawiają twarze w stronę wiatru i śpiewają
hymn braterstwa i wierności
wysokimi, czystymi głosami.
Tylko jedna osoba, cały czas, od pierszej nuty,
stałe kłapie swoją
sztuczną szczeką.

(przełożyła Urszula Witwicka-Rutkowska)

Życie na kólkach

Nigdy nie wiesz
co oni ci jeszcze
szykują,
jakie jeszcze niespodzianki ci się przytrafią,
jakie przyjemne suprajisy.

Po dwóch miesiącach
na tabletkach,
nagle zbuntowały się
wszystkie kubeczki smakowe.
Teraz w ogóle
nie czuję smaku.

Już wcześniej wiedziałem,
że chemia mnie kiedyś zabije,
przełamie moją wątrobę,
niczym kołacz,
ale o kubeczki smakowe
jakoś się nie bałem.

Na początku byłem zdezorientowany
no, jak to tak pomyślałem,
co z w feerią barw i odcieni,
przywitanie życia,
wszystkie te ziarna czarnego pieprzu
i korzeni
na kobiecej dłoni?

Potem pomyślałem -
życie ma smak aspiryny,
życie ma smak farmakologii.
I tak się dostatecznie w swoim życiu
nazarłem różnego gówna,
aby teraz pozwolić sobie
nie czuć
jego niuansów.

W naszych czasach, kiedy skurwili się
nawet uliczni alkoholicy -
publika, która w zasadzie trzyma się
do ostatniego,
kiedy zniknęło samo pojęcie
chrześcijańskiej etyki,
kiedy poeci zaciskają
swoje języki między młoteczkami
maszyny do pisania
i uderzają, uderzają
w klawisze

z przepalonym rutą podniebieniem,
z trzydziestoma tabletkami
w kieszeni:
dla mnie, czy chleb, czy
przydrożne kamienie -
wszystko ma smak trocin,
wszystko ma smak rozkładu.
Nie ma dla mnie teraz żadnej różnicy -
czy dary boże,
czy stołowe pomyje.

Zresztą
i tak wcześniej
nie czułem
szczególnej
różnicy.

(przełożyła Urszula Witwicka-Rutkowska)

Poliklinika

Z okna szpitala widać było jabłonie,
które tego lata uginały się od ciężkich
deszczy tak, że trawa zaplątywała się w najdłuższe
gałązki..

Rano podwórze było puste,
wiecie, jest w lecie kilka takich dni, one
nie to, żeby były najdłuższe, raczej - najbardziej rozmyte.
Potem oczywiście wszystko znika,
potem w ogóle zaczyna się jesień.
Ale w te dni, o godzinie siódmej, na jasnym
niebie widać było gwiazdy,
które ciemniały i gasły.

Kobiety podobne były do czeczeńskich snajperek -
jak czeczeńskie snajperki miały
pokłute od znieczulenia żyły
i niedobre spojrzenia.
A mężczyźni podobni byli do misjonarzy Cyryla i
Metodego - tak jak misjonarze Cyryl i
Metody ubrani byli w długie chałaty
i trzymali w rekach historie choroby,
podobne do pierwszych przekładów Ewangelii.

Rano, kiedy wychodzili do sadu i
palili, gwiazdy kolejno znikwały
i szeleściła trawa.

Błogosławione imię Pańskie - mówił
Cyryl. - Błogosławione ręce jego,
z których otrzymujemy chleb nasz powszedni.
Siostra-suka - tłumaczył Metody
cyrylicą. - znów wstrzyknęła morfinę.
Gryps trzeba napisać, a to bez znaczenia.
A snajperki schylały się im do nóg
Obmywając stopy wodą z deszczówki.

Jest niewypowiedziana niezłomność w mężczyznach,
którzy wychodzą na szpitalne podwórza,
całe życie pracować na swój kraj
i otrzymać od niego wreszcie
zimny, szary fartuch:
z twoich rąk ojczyzno śmierć, chociaż
gorzka, jednak upragniona,
niczym chleb w czasie wojny.

Czasem wychodziły siostry-żałobnice
i prosiły najsilniejszych z nich
o wyniesienie kolejnego trupa.
Wtedy mężczyźni szli,
a kobiety trzymały w palcach
ich papierosy,
które ciemniały,
ciemniały
i kolejno
gasły.

(przełożyła Urszula Witwicka-Rutkowska)

JURKO POZAJAK Prawdziwe nazwisko: JURIJ ŁYSENKO, ur. 1958 w Kijowie. Ukończył slawistykę na tamtejszym uniwersytecie. Należy do grupy poetyckiej „Propała hramota”, która pod koniec lat 80-tych zadebiutowała na jednej fali z grupami „Bu-Ba-Bu” i „LuHoSad”. Twórczość najmłodszego wtedy pokolenia poetów wniosła zdrowy ferment do najnowszej literatury ukraińskiej. Ich nowatorska poetyka utrzymana w lekko skandalizującej atmosferze została entuzjastycznie przyjęta przez młodzież, natomiast wśród starszych czytelników wywołała oburzenie.

W odróżnieniu od karnawałowej maskarady w twórczości Bu-Ba-Bu, członkowie „Propałej hramoty” skupiają się na realistycznym opisie teraźniejszości ukraińskiej z perspektywy jej mieszkańca, który albo nigdy nie akceptował absurdu rzeczywistości totalitarnej znajdując dla siebie miejsce w formach działalności kontrkulturowej, albo wyrażając zgodę na panowanie ideologii tym samym przekreślał siebie jako niezależną i odpowiedzialną jednostkę. Z całej trójki Jurko Pozajak (oprócz niego członkami grupy są Semen Łyboń oraz Wiktor Nedostup) daje chyba najbardziej paraliżujący opis pustki świata bez wartości, w jakiej znalazł się człowiek, który w takim kontekście ulega stopniowej dezintegracji. Wszystkie tłumaczenia pochodzą z tomiku „Propała hramota”; Kijów 1991.

Obierki

1.
(o naszym pokoleniu)
Spod śniegu dziki kwiatek Wyrósł
i kurwami rzuca.

2.
Słońce wschodzi — zachodzi,
Leniwie płynie Ziemia.
Na Ziemi żywa biomasa,
W biomasie żyje kropla —ja.

3.
Bezzębna żaba wśród chaszczy
Komarowi szykuje trumnę.
Ach, losie! W czyjej to paszczy
Ja niespodziewanie umrę?!

4.
Przejechał psa autobus,
Z psa wylazły ekskrementy.
Ale i tak się życia nie boję —
Bywają w nim miłsze momenty.
Jeśli ptaka trzymać w niewoli,
Jeśli ptakowi podciąć skrzydła
I jeśli odrąbać mu nogi,
a do tego jeszcze wyskubać mu pióra,
I w kuper napchać mu jabłek,
I to wszystko upiec w piecyku —
To wtedy wyjdzie nam pieczona kaczka,
Ozdoba świątecznego stołu.

(Tłumaczyła: Lidia Stefanowska)

Ostrzeżenie

Każdego, kto tonie i nie wie
Za co się złapać,
Kto już ostatnich
wyzbył się sił:
Ostrzegam —ja nie jestem kłoda
Ostrzegam —ja jestem krokodyl.

(Tłumaczyła: Lidia Stefanowska)

Alkohaiku

Dopiero co usiedliśmy
Napić się razem,
A na dworze już jesień.

Wczoraj się zalałem,
Dzisiaj w pień pijany,
A może to miłość?

Dziś już drugi raz
Idę po Chreszczatyku
I nie ma z kim wypić

Pięciogwiazdkowy koniak
Astrolog mi przypomniał —
I śmieję się i płaczę.

Kiedy kwitną kasztany
I kiedy kasztany spadają,
Wciąż jestem u „Francois”.

Ach, jak gra
cykada w trawie —
Tylko rubla brakuje...

Zadzwoił telefon,
Nie podnoszę słuchawki —
Zostało jeszcze pół flaszki.

Ach, jak śpiewa ptaszek,
Ach, jak sobie śpiewa!
Zamówię jeszcze jedną setkę.

Objąłem czule drzewo.
Ach, kto mnie dzisiaj
zaprowadzi do domu?!

Jak śmiesznie wszyscy z dołu
Zadzierają główki —
Z balkonu wyskoczyłem...

Wciąż ten straszny sen —
Szampan i bimber
Plus vermut i ciepłe piwo.

(Tłumaczyła: Lidia Stefanowska)

Alkohaiku

Dzisiaj już drugi raz
przechodzę Chreszczatykiem
i nie ma z kim się napić.

Kiedy kwitną kasztany
i kiedy kasztany opadają
ja zawsze we „François”.

Wpadłem do „Morozywa”,
a tam siedzi Kornijczuk.
No, to znowu się napiję.

Zdaje się, dopiero wczoraj
siedliśmy razem do flaszki,
a to już jesień na dworze.

Zadzwoił telefon,
nie podnoszę słuchawki –
jeszcze pół flaszki zostało.

Wczoraj schlałem się,
Dzisiaj w trzy dupy pijany –
A może to miłość?

Trzy litry wypilem,
obudziłem się – o, cholera!
Czyżbym się ożenił?!

(tłum. Aneta Kamińska i Andrij Porytko)